

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

- I. PRZEWOŁKA — W bułgarskiej spółdzielni produkcyjnej. - I. WAZOW — Wiersze. M. JANION — Szkoła Engelsa. J. BŁONSKI — Nowa szansa poezji. K. BARTYZEL — Droga nauczyciela. T. PAPIER — Dwa abecadła. ST. PIETAK — Wiersze. A. DASZEWSKA — Na szlaku ZMP-owskich brygad. Z. SIKORSKA — Debiuty literackie w ZSRR. L. WALLICHT — Z życia robotników amerykańskich.

Rok VII

Warszawa, dn. 17. IX. 1950 r.

Nr 37 (268)

WŁODZIMIERZ LWOW

ABY NAUKA SŁUŻYŁA POKOJOWI I WOLNOŚCI...



Małżonkowie Fryderyk i Irena Joliot - Curie

„Drogi nam jest szlachetne imię Joliot-Curie” (Z listu otwartego uczonych radzieckich „W obronie Joliot-Curie!”) 13 maja 1950 r.

Szczupły młody człowiek o sportowej sylwetce wchodzący pewnego wiosennego rana 1929 roku do jednego z domów przy ulicy Piotra Curie w Paryżu został zatrzymany w przed-

„gęszćciarzy” kolonialnych chętnie nie pamięta o istnieniu Piotra i Marii Curie. Przypomina sobie o nich tylko wtedy, gdy akcje kopalń rud radioaktywnych w Kongu zaczynają się podnosić.

— Patrzy pan na moje ręce. Ucierpiał wtedy, gdy pracowaliśmy razem z Piotrem Curie w starej opuszczonej szopie na podwórzu miejskiego Instytutu Fizyki. Czytał pan zapewne o tej szopie. Jej dach przeciekał, a jesienią stały na podłodze kałuże. Państwo nie dawali nam żadnych środków na doświadczenia naukowe. Ja byłem jedynym współpracownikiem Piotra Curie. Nie łatwa to była praca — nosić rudę uranu — osiem ton rudy! — Nosić i mieszać wrzącą masę w tyglu... Gorzko pomyśleć, że jeden z najwybitniejszych uczonych francuskich nigdy nie miał dobrze wyposażonego laboratorium. Jest to najbardziej karygodny rodzaj marnotrawstwa: marnotrawstwo talentu i energii ludzi nauki. Piotr Curie marzył o lepszej organizacji społeczeństwa. O takiej organizacji, w której naród przydzielił nauce miejsce godne jej przeznaczenia. Piotr Curie nieraz roztrząsał to zagadnienie z Paul'em Langevin'em, pana nauczycielem. Rewolucja rosyjska 1905 roku poruszyła ich obu. Piotr Curie wierzył w Rosję, ciągle o niej mówił. Gdyby dane mu było przeżyć jeszcze jedenaste lat, ujrzałby rewolucję rosyjską o tym potężnym światowym rozmachu, jak mi widzimy ją dzisiaj... Pana ojciec był socjalistą?

— Był robotnikiem i komunistą, madame. Bił się na barykadach. Życie miało nie lekkie... — Piotr Curie także pragnął ujrzyć urzeczywistnienie swoich marzeń. Nie oddzielał on losu nauki od losu cywilizacji. Pan z pewnością czytał jego przemówienie wygłoszone przed komitetem nagrody Nobla w Sztokholmie?

Fryderyk Joliot patrzy nie mogąc oderwać oczu na osłonięte rękawiczkami szczupłe ręce, na twarz, w której nie ma ani kropli krwi. Rękawiczki okrywają nieuleczalne, nie gojące się rany. To — rad. Promienie radu, przed którymi nie umiano się chronić dwadzieścia lat temu... — Bardzo mi przyjemnie, że pana widzę, panie Joliot. Opowiadał mi o panu profesor Langevin. Pan skończył u niego kurs w wyższej szkole fizyki i chemii? Skończył pan jako prymus, czy tak? Paul Langevin — to wielki uczyony i wielki człowiek. Był ulubionym uczniem Piotra Curie.

Fryderyk Joliot patrzy na okryte rękawiczkami szczupłe, poronione ręce. Ież walk i trudów wycierpiał! Francja bankierów i giełdjarzy, sprzedających dziennikarzy

laboranta. Niech pan się postara wejść w tę pracę! Życzę powodzenia!

— Witając w Moskwie znakomitych autorów prac z zakresu sztucznej radioaktywności Fryderyka Joliot i panią Irenę Joliot-Curie pragnę w imieniu komisji mendelejewskiej i od siebie osobiście powiedzieć im: Witam Was najserdeczniej w naszym kraju.

Unosiłszy okulary ponad siwymi brwiami akademik Kunakow obejmuje wzrokiem oklaskującą salę. Dla uczczenia stułetniej rocznicy urodzin wielkiego twórcy systemu periodycznego Akademia Nauk postanowiła przeprowadzić coroczne odczyty poświęcone najwybitniejszemu i najważniejszemu pracownikowi dziedziny fizyki i chemii. Dzisiaj, dwudziestego siódmego września 1936 roku przystępujemy po raz pierwszy do urzeczywistnienia tego zamiaru. Sądzę, że nie omyliłem się, jeżeli powiem, że obecność na tej katedrze wybitnego przedstawiciela bratniego narodu i treść tych prac, o których on sam zaraz opowie lepiej niż cokolwiek innego zaciśni więzy między wielką nauką narodu rosyjskiego, a przodującą i postępową nauką całego cywilizowanego świata!

Joliot wzruszony rozpoczyna przemawiać w skupieniu, powoli. Stenografistki i tłumacze śledzą wyczekująco każdy ruch szczupłych palców wertujących kartki i notatki.

— „Gdy zdecydowałem się przemawiać wobec najwybitniejszych uczonych radzieckich, poczułem ciążącą na mnie wielką odpowiedzialność... Widzę tu tablicę Mendelejewa i muszę podkreślić, że w pracy naszej zśliśmy po tej drodze, którą wytnął twórca prawa periodyczności...”

„...Jeśli, sumując, rzucimy okiem na osiągnięcia nauki, będziemy mogli z całą pewnością przewidzieć, że badacze, którzy rozbijają i łączą elementy według swojego uznania, opanują wcześniej czy później taką metodę, przy pomocy której jedna przemiana jądrowa będzie pociągać za sobą szereg innych. (Możliwość tę przewidzieli już z początkiem naszego wieku nasi niezapomniani nauczyciele, Piotr Curie i jego żona, która opuściła nas na zaw sze dwa lata temu w 1934). Łatwo przewidzieć, że zasadniczym motorem tych przemian będą neutrony. Jeśli przemiany te zaczynają się rozchodzić od jądra do jądra we wzrastającej sile, to można sobie wyobrazić, jaka potężna ilość energii wydzieli się przy tym! Cały problem polega na tym, czy energia ta będzie wykorzystana na pożytek czy na szkodę społeczeństwa...”

Warkot bębnow, trzaskanie podkutek żołnierskich butów, dźwięk rozbijanego szkła, czerwiec 1940. Niemcy w Paryżu. W parku Montsouris wśród dopeptanych klombów i wyrwanym z korzeniami stułetnich platanów — czołgi z czarnymi krzyżami. Patrole SS zatrzymują przechodniów. Szczupły niewysoki człowiek z teczką w ręku szybko przechodzi tylnymi podwórzami do budynku College de France. Wspina się tylnymi schodami i chodzi do audytorium przypominającego zaniepokojoną ul. Wszyscy milkną. Z ostatnich szeregów wyemyka się kilku osobników ze znaczkami „ognistych krzyżów” i szybko znikają z sali.

— Przyjaciele! Przysłiście na mój kolejny wykład o fizyce atomu. Zawiadamiam: wykład nie odbędzie się. Nie odbędzie się również wykład mojego nauczyciela Paul'a Langevin'a. Wielki uczyony francuski został schwytyany i wrzucony do więzienia przez tych, którzy panują dziś w Paryżu... Spokojnie i wytrwają, towarzysze! Przesuniemy nasze wykłady na te czasy, gdy Francja będzie znowu wolna. A nadejście tej chwili zależeć będzie w wielkim stopniu od nas samych. Wzywam więc was wszystkich, abyście spełnili swój obowiązek. Co się tyczy mnie...

Słychać hałas poza ścianami sali, zamieszanie, krzyki: „Essesowcy!”

— Życzę wam powodzenia w walce, towarzysze i przyjaciele!”

Fryderyk Joliot został przyjęty do partii przez partyzancką grupę komunistyczną prowadzoną przez Casanowę i Pierra Villon.

Zbliżał się 1942 rok. Do Stalingradu było jeszcze daleko. „Wstąpiłem do partii dlatego, że jestem patriotą. W te najtrudniejsze dla ojczyzny dni dowiedziałem się wreszcie, co to są komuniści i co to jest komunizm. Zrozumiałem, że gdyby mnie schwytyli gestapowcy, było by mi wstyd, gdybym nie był w jednym szeregu z tymi, którzy walczą najdzielniej...”

Butelki i papierosy, wycie klaksonów, zdeptane klomby w parku Montsouris. 1944 — 1945. Amerykanie w Paryżu!

W audytorium fizyki w College de France ożywienie. Studenci goliwie napelniają atramentem pióra i rozkładają na pulpitych zeszyty. Dokładnie w oznaczonym czasie (nie ma żadnych „akademickich kwadransów”), wchodzi na stopnie katedry Fryderyk Joliot. — „Teraz możemy kontynuować nasz kurs fizyki atomu...” Wieczorem wszyscy zbierają się w ciasnym kole przyjaciół i towarzyszy walki. Wspomnienia, mowy, toasty. „Pięć lat walki — to nie żarty!”. A pamiętacie, jak trzeba było chować ciężką wodę? Dwieście litrów! I gdzie? W celi więzienia. To był pomysł Fryderyka godny jego najlepszych pomysłów naukowych! „Francuski naród oczekuje od Ciebie, Fryderyku, nowych porywów, nowych odkryć. Trzymaj się teraz, atomie, stary sknero, wytrąśnijmy z ciebie wszystko, co chowasz w swojej skarbnicy!”

Fryderyk Joliot jest milczący i poważny. W rękach gazeta. W milczeniu pokazuje ją współbiedniakom. Na całą stronę: Hiroszima i Nagasaki.

Francis Perrin, fizyk, mówi wzburzony:

— Co za podłość, co za krwawy bezsens! Przekształcić spokojną ludność dwu miast w pole doświadczalne dla atomowych bombardowań. Z zimną krwią, bezzwłocznie unicestwić tysiące ludzi...

Fryderyk Joliot odejmuje dłoń od twarzy. Wstaje.

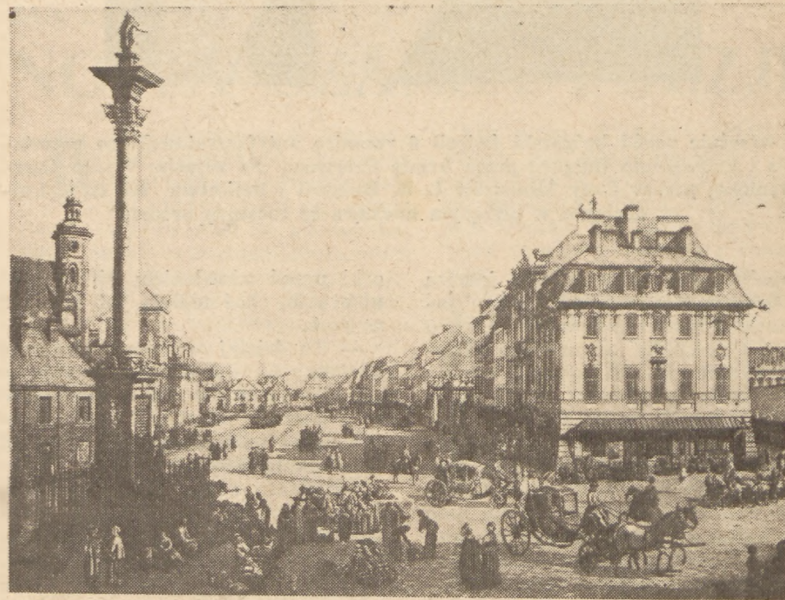
— Jest o wiele większa podłość. Generał Groves nie jest najważniejszym przestępcą. Generał Groves jest kukłą, którą ciągną za nici przywódcy Dupont de Nemura. Myśle o innych. Myślę o tych uczonych, którzy sprzedali swoją wiedzę, talent, swoje sumienie wszechświatowym gangsterom.

Podczas gdy my walczyliśmy z hitleryzmem, oni czynili doświadczenia, oni dokonywali matematycznych obliczeń, eksperymentowali na zlecenie szajki zbrodniarzy, morderców, mianujących siebie senatorami, wiceprezydentami, dyrektorami koncernów. Właśnie tutaj kryje się najpoważniejsze niebezpieczeństwo. Oświadczam z całą stanowczością i powtórzę to z każdej choćby najwyższej trybuny: my, we Francji nie oddamy ani okruszyny naszej wiedzy i doświadczenia naukowego dla masowego wyniszczenia ludzi. Więcej. Uczynimy wszystko, aby odsunąć groźbę wiszącą nad kołyskami naszych dzieci. I znow tak jak w 1942 roku — nie jesteśmy sami. Z nami jest Związek Radziecki, z nami jest Stalin. Walka jest nieskończona. Walka dopiero się zaczyna. Walka o pokój...

„Instytut Radowy w Paryżu ma zaszczyt prosić władze państwowe Stanów Zjednoczonych Ameryki o wpłynięcie na otrzymanie zezwolenia na przywóz do Francji pewnej ilości sztucznych radioaktywnych izotopów. Izotopy są potrzebne francuskim szpitalom i laboratoriom medycyny eksperymentalnej. Prosimy o telegraficzną odpowiedź.

(dokończenie na str. 6)

WARSZAWA DAWNIEJ I DZIŚ



Bernardo Belotto de Canaletto: Krakowskie Przedmieście (wiek XVIII)



Trasa W-Z



Bernardo Belotto de Canaletto: Widok Warszawy od strony Pałacu Ordynackiego (1772 rok)



Nowy Świat

DMI. PAJ. 05

IRENA PRZEWŁOCKA

W BUŁGARSKIEJ SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ



9 września naród bułgarski święcił 6 rocznicę antyfaszystowskiego powstania i wyzwolenia Bułgarii przez Armię Czerwoną. Na zdjęciu: Wylko Czernow, prezes Rady Ministrów L. R. Bułgarii i Sekretarz KC BPK, który obchodzi w bieżącym miesiącu 50 rocznicę urodzin

Popołudniowe słońce praży jeszcze ciągle w nieruchomym prawie powietrzu. Gdzieś z przydrożnego rowu zrywa się cienkim łańcuszkiem świergotu cykanie konika polnego, gdy na bitej szosie bułgarskiej zatrzymujemy się na moment, by zapytać o drogę, do lozowskiej spółdzielni produkcyjnej „Now Żywot”. Popielata wyjeżdżona smuga wije się wśród pięknych wzgórz, przypominających nam do złudzenia, zwłaszcza po niedawnym pobycie na kamieniskach i pływających w Azji Mniejszej i Afryki — ciepły polski krajobraz, co już z góry nastroja nas do bratnich Bułgarów serdecznie.

Władze partyjne w Burgas przyjeły nas gościnnie i pragną nam pokazać — przykładowo — jakiś mały zakład państwowy i wieś produkcyjną, która nosi tu długo nazwę „Trudowo — kooperatywno — zamedelsko stopanstwo”.

Daleko na peryferiach Burgasu zostały za nami kminy fabryk, snujących się po nieboskonie ciemnymi warkoczami dymu.

Zyzna, urodzajna ziemia wybiega na zbocza wzniesień i kopulastych wzgórz zamasytymi lukami świeżo ustawionych kopie spółdzielczego dobytku. Gdzieś tam z boku odpoczywają na tle czerwonych pykających ciągników wyprężone z jarzma leniwe woły, jakich wiele spotykaliśmy przy dwukolnych skrzyniowych arabach — na drogach pięknej Albanii. Mijamy podłużne połyskujące w promieniach srebrną smugą jezioro, połączone — na łuku zatoki bułgarskiej — kanałem z Morzem Czarnym.

Już widać, jak na dloni spółdzielni, ku której zdążamy, gdzie na otaczających ją polach żółta się jak długie chaty, wyczesane stogi, o regularnych liniach, z owalnymi krawędziami.

Brunatna, starta w miarkę pył powietrzna droga dymi za każdym stąpnięciem.

— Deszczu? o, długo, już długo nie ma — odpowiada na pytanie pierwszy napotkany Bułgar, który się przyląca, wprowadzając nas do wsi. — Od pierwszego maja nie padła ni kropla, a zboża zebrać trzeba, by ani ziarna nie zamrznąło, bo inaczej się wysypie i przepadnie!

Posuwamy się wśród domów, ku którym spływają druty przewodów elektrycznych.

— Teraz mamy młóćkę i czyszczenie zboża. Skrećmy tutaj, zobaczycie, jak pracują bułgarscy spółdzielcy. Tam może spotkamy przewodniczącego.

Kierujemy się w stronę grupy kobiet, które, przerwawszy pracę, witają nas serdecznie. Rej wodzi żywa jak iskra Marijka Kirostianowa, która po chwili rozmawia z nami jak ze starymi znajomymi.

— Z Tracji my tu przyszli wszyscy, ale nie było wtedy ani jednej chałupy — zatacza ręką krag, jakby chciała ukazać bezmiar pustki, na jakiej znaleźli się wygnańcy. — Teraz, co teraz! Teraz już mamy domy, budujemy nowe, aby się bogaciła nasza spółdzielnia.

Bułgarki otaczają nas przyjaznym kołem i zaczyna płynąć coraz żywsza rozmowa o gospodarce spółdzielczej obu krajów, o majątkach państwowych, o ilości bydła, koni, traktorów i żniwiarek, snopowiązałek i kombajnów.

Robota jednak czeka, tak, że brygadierka, przypominając ze śmiechem, że „słońce już ziewa” zabiera kobiety z powrotem do przerwanej pracy, gdzie przesympują przez ogromne rzęsoto ostatnie garście „pośladu”. Długie cienie kładą się przed stosem oczyszczonego ziarna, gdy Marijka intonuje „Dymitrowską pieśń” o trudzie, i woli zwycięstwa. Rozlega się pod niebem bułgarskiej wsi śpiew o wysiłku prostego człowieka, który jednoczy świat pokoju, dobra i pracy.

Dokądkolwiek zwrócić w „stopanstwie” oczy, wszędzie wyczuwa się gorączkowe przedwieczne tempo, jak wtedy gdy nie można porzucić

orki przed odwaleniem kilku ostatnich skib, choć mdleją już spracowana ręce.

— To dzisiaj musimy skończyć. Mieliśmy tu sześćdziesiąt ton czosnku, jaki nasze kobiety wypielegnowały i zebrały dla Czechosłowacji — pokazują nam białą piramidę zbitych ciasno główek.

Oglądamy wieś. Małe, murywane domki lśnią po obu stronach szerokiej drogi, przecinającej wieś. Z płotków wyglądają ciekawskie dzieci, czepiając się matczynych fartuchów, gdy wchodzimy do pierwszej z brzo-ga chaty, w której koloryt niebieskie go wnętrza podnoszą tkane ręcznie w drobny deseń narzuty na łóżka, przykrycia na stoły, skrzynie i chodniki na podłogę. Podziwiamy estetyczną całość i umiar artystyczny młodej bułgarskiej chłopki, twórczyni tych tkanin.

Ładne jak pudełeczka domy, toną wśród malw.

*

Przewodniczący spółdzielni Peter Marynow, starannie ubrany chłop, ma łagodny i trochę zakłopotany wyraz twarzy. Jest cichy i nie potrafi rozwozić się hałaśliwie na temat swej pracy i trudu, jaki wkłada razem z innymi w organizowanie nowego życia. Ale z pewnością ten człowiek o energicznych łukach brwi, spod których patrzą rozumne i odrobnie nieufne oczy nie łatwo ustępuje z placu tam, gdzie w ostrych zmaganiach ścierają się ciągle jeszcze dwa światy — nowy i stary; ten, który wybiega w przyszłość i zaśnie działa, ciągnący powrozami nawyków wstecz.

Peter Marynow opowiada o dziejach spółdzielni, z wrokiem, wbitym w ziemię, jakby wypatrywał pilnie zagubionej rzeczy. Spod nóg, które stawia ciężko zrywają się bure obłoki pyłu. Mówiąc o początkach, za-trzymuje się dłużej nad tym, że w spółdzielni, obok której pozostało jeszcze wiele niezrzeszonych w niej chłopów, nie wolno żadnym nieostrożnym potknięciem podkopywać wiary w wartość i wyższość gospodarki spółdzielczej. Peter Marynow i w tej chwili, kiedy po pracowitym dniu, stąpa u boku obcych przybyszów, w ciszy zapadającego dnia — nie zapomina o walce:

— Walka się jeszcze nie skończyła. Żebyście wiedzieli, co wyrabia tu jeszcze wróg...

Jego łagodną twarz zasnuwa chmura, gdy wskazuje na przyczajone na skraju wsi kulackie gospodarstwa, które rozsiadły się oddzielnie jak bogate gaźdżiny na odpuszcie.



Zbiór kwiatów różanych na bułgarskiej plantacji

Oni wiedzą, dlaczego jeszcze nie wszyscy weszli do spółdzielni. Czterdzieści rodzin niezrzeszonych to nie znaczy czterdzieści kulaków. Są tam i obstawieni przez nich mało i średniorolni.

— Ano... — pięcącemu krótko idący obok nas kasjer spółdzielni, niepozorny mały człowieczek.

— Taki to ma zawsze swoje drogi! — winduje w górę głos Marynow. Alboż to się sam nie nasłuchał na ze-

braniach partyjnych o różnych sposobach działania wroga.

— Taki to i na przekąską zaprosi i mięso postawi i wódka podleje i bredni naopowiada. „Poco tkasz mówi na przykład, takie ładne wzory do swej chałupy, kiedy i tak wszystko będzie wspólne, durna babo”. Wiecej, jak to bywa. Wróg klasowy wszędzie jednaki i nad Morzem Czarnym i nad Bałtykiem.

Przestanął na moment, ciesząc się że stogi wykończone i że jutro się wezmą do innej roboty. Ale kasjer powraca do porzuconego na moment tematu.

— A z tymi dostawami zboża dla państwa. Takie spółdzielce TKZS, Kruszewo czy Jeziorowo dały już 100 proc. dostaw, a na przykład wieś Briagowo do tej pory dostarczyła 4 proc.! To prawda, że Organizacja Partyjna pewnie tam śpi pod piecem, ale, ja pytam, czyja to robota, że choć jeden wykona zobowiązania w 100 proc., drugi stroi istne kpiny.

Zagadali się obydwoj, jakby byli sami.

— Albo w Ajtosku kulak Janko Arnaudow a za nim inni skradli państwu przeszło 150 kilo wełny, sam Arnaudow schował 53 kilo niepranej i 15 kilo pranej!

Przewiał surowy nagrany aromat zieliska a potem zapachniało obora.

Obok nas drepcie bosy, w bułgarskiej „zapasce” Marijka Kirostianowa i milczy, jakby to nie była jej „dziewczyńska” sprawa wtrącać się w poważne dyskusje. Ale tak się tylko na pozor wydaje. Marijka prostuje się, jakby nagle przyszła jej ochota, by ją wszyscy zauważyli.

— To, oni tak ze złości. Ze złości, że u nas się dobrze dzieje, że mamy urodzaj, pszenicę i jęczmień — pokazuje w stronę złocących się kopiec. — Tośmy już na naszych zebraniach partyjnych mówili! A nam tylko pracować, nie więcje!

Gdzieś w kępie fioletowych ostów zaczął ostro świerszcz — i urwał.

Marijka wyrzuca przed siebie obie ręce, jakby chciała kogoś przekląć:

schną, jak drzewo, które straciło soki.

*

— Przyszedł rok 1920 i musieliśmy uciekać z wschodniej Tracji — wzdychał stary Paweł Stefanow, jeszcze trzymający się ziemi, jeszcze w nią wrosły jak rosochaty dąb. — Nie było tu wtedy nic, na pustę my przyszli, a przecie trzeba gdzieś człowiekowi głowę przyłożyć. Zaczęliśmy budować. Ale jak? Czy kto wtedy o biednym myślał? — zaśpiewał wspomnieniem, pełnym posmaku tamtych, ciężkich dni — i urwał.

— Ot, tymi rękami człowiek dał ziemię. Pomoc? Pomoc była na papierze. I nagle głos mu stwardniał: — I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować. Kto przyszedł z pieniędzmi, ten tylko chuchał w garść i już mu wozy wiozły budulec, już miał robotnika, ba, patrzysz i oczom nie wierzysz, już stoi dom! Ot, taki tam — pokazał wyschlą, jak bądył ręką w stronę krociojących bogaczy. — A ty, człeku... — Nie dokończył. Zdawało mu się, że Ganczo chce mówić, ale w pobrużdżonej zmarszczkami twarzy sąsiada drgnęły tylko wargi, jakby zabrakło w nim mowy. Machnął ręką — i się na tym skończyło.

— Ot, tymi rękami człowiek dał ziemię. Pomoc? Pomoc była na papierze. I nagle głos mu stwardniał: — I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować. Kto przyszedł z pieniędzmi, ten tylko chuchał w garść i już mu wozy wiozły budulec, już miał robotnika, ba, patrzysz i oczom nie wierzysz, już stoi dom! Ot, taki tam — pokazał wyschlą, jak bądył ręką w stronę krociojących bogaczy. — A ty, człeku... — Nie dokończył. Zdawało mu się, że Ganczo chce mówić, ale w pobrużdżonej zmarszczkami twarzy sąsiada drgnęły tylko wargi, jakby zabrakło w nim mowy. Machnął ręką — i się na tym skończyło.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować. Kto przyszedł z pieniędzmi, ten tylko chuchał w garść i już mu wozy wiozły budulec, już miał robotnika, ba, patrzysz i oczom nie wierzysz, już stoi dom! Ot, taki tam — pokazał wyschlą, jak bądył ręką w stronę krociojących bogaczy. — A ty, człeku... — Nie dokończył. Zdawało mu się, że Ganczo chce mówić, ale w pobrużdżonej zmarszczkami twarzy sąsiada drgnęły tylko wargi, jakby zabrakło w nim mowy. Machnął ręką — i się na tym skończyło.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

— I tak uciekinierzy zaczęli się tu budować.

Wokół epiki

MARIA JANION

W S Z K O L E E N G E L S A

O mówienie tomu Wygodzkiego „Nad Engelsem”, jako jeano z ogniw rozpoczętej na łamach „Wsi” dyskusji o epice, wnieść może nowe problemy i argumenty:

Jedną z istotnych cech konstrukcyjnych poematu Wygodzkiego stanowi jego liryczny charakter. „Nad Engelsem” jest zbiorem „pieśni”, w których autor pragnął otworzyć stan świadomości wzburzonych mas chłopko-plebejskich Niemiec XVI wieku. Wygodzki ogranicza tu do minimum element opisowy, rezygnuje z przedstawienia wiernie historycznego ciągu zdarzeń. Epaty wojny chłopskiej 1525 r. przegladają aluzyjnie poprzez wynurzenia różnicowanych ale najczęściej anonimowych podmiotów lirycznych; ładunek emocjonalny pieśni nadziei czy rozpacz pozwala nam odcyfrować sytuację historyczną, która je określa. Przez cały ciąg poematu mówią ludzie wojen chłopskich — wagabundy i rozgromieni, król żebraków i emisariusz. Zrzadka tylko odzywa się narrator; w ostatnim zaś wierszu cyklu autor mówi od siebie i tu panuje już niepodzielnie liryka.

Lekturę „Nad Engelsem” należało by zaczynać od końca. Ostatni bowiem wiersz cyklu: „Pieśń o zamkniętym na wieży” stanowi komentarz ideowy całego poematu. Kamienna wieża w Dunaju, kryjąca niegdyś skazanego na śmierć kacerza — temat ostatniej pieśni poematu, staje się w myśl intencji autora jego lirycznym iniejałem:

„Widziałem tę wieżę i pierzchem w jej dno i kamienie zwietrzałe, jak w dzieje i czasy zamierzale, co nagle znów stały się ciałem, i z głazów odgadłem — wózbina — dno rzeki, dno wieży, dno rzeczy... z kamieni, jak z księgi czytana, a księga niestety, nie przeczy.”

Narrator wstrząśnięty widokiem wieży, miejsca kaźni bohaterów wojennych, w myśl własnego wyznania, czerpać swą wiedzę o życiu i walce chłopów niemieckich XVI w. Jakież „dno rzeczy” można dostrzec na „dnie wieży” i „dnie rzeki”? Kamienie wieżeni mówić mogą o męce i przedmiernym lekku skazańca, o potwórności mordu, o bohaterstwie nadziei. Ale też i niewiele więcej.

Symbolicznym równoważnikiem lirycznej treści poematu stał się więc czwitek kajdan i skowyt wynędzniałej sukki z obozowiska wagabundów:

„...i ciągnie za armią Apollo jak czarna wilgotna onuczka, i kuli się, tuli się, wlece przez strofy i w pieśni mej warczy jak dola, jak dzieje człowiecze...”

Poemat nosi jednak tytuł „Nad Engelsem”. U podłoża książki leży nie tylko głębokie zamyslenie nad mrocznymi „dziejami człowieczymi”. Autor powołuje się przecież na znakomitą pracę Fryderyka Engelsa, który oświetlił z genialną przenikliwością czasy niemieckich wojen chłopskich. Dwoistość patronatu ideowego nie wyszła na dobre poematu Wygodzkiego. Hipertrofia poetyckiej „lirycznej zadumy” zamglila klasycznie przejrzysty i jasny sąd historyka, splątała ścieżki naukowej analizy. Jest to tym smutniejsze, że w ten sposób nie tylko obniżona została wartość pięknego i cennego w zamierzeniach poematu. Indywidualne błędy Wygodzkiego mogą nasuwać wadliwe sugestie na temat stosunku „poetki” i „prawdy”, różnicy zadań historyka i poety, granic poetyckiej licencji”. Sprobujmy zatem ustalić stosunek między poematem Wygodzkiego a jego wielkim wzorem, historyczną rozprawą Engelsa.

„Wojna chłopka w Niemczech” ukazała się sto lat temu, w lecie 1850 r., w 5 i 6 zeszytach „Nowej Gazety Renńskiej”, redagowanej przez Marksa. W przedmowie do wydania II z r. 1870 tak określał Engels zadanie pracy: „...Spróbowałem wytlumaczyć pochodzenie wojny chłopskiej, stanowisko różnych występujących w niej partii, polityczne i religijne teorie, w których partie te usiłowały wyjaśnić sobie własne swe stanowisko, wreszcie sam wynik walki, jako zjawiska, wynikające z konieczności z historycznych warunków życia tych klas”. Praca Engelsa o wojnie chłopkiej 1525 roku stanowi — obok historycznych prac Marksa — jeden z najświetniejszych wzorów zastosowania w praktyce materialistycznego pojmowania dziejów.

W stulecie publikowania rozprawy Engelsa (której nowego wydania polskiego niestety dotąd jakoś nie widać) ukazał się nakładem „Książki i Wiedzy” poemat Stanisława Wygodzkiego „Nad Engelsem”. Ta inicjatywa pisarska Wygodzkiego jest niezwykle cenna i nowatorska. Wierszy, które powstały z zamyslenia nad książką, które reprezentują typ poezji zwanej popularnie „z książek książkami”, znamy wiele. W schyłkowym okresie literatury mieszczańskiej poezja taka miała za zadanie wyrazić burzązującą tezę o autonomności niezwiązanej z rzeczywistością sztuki, ukazywać

rozwoj kultury niezmacony żadną ingerencją „z zewnątrz”. Znamy także banalne rozróżnienia poetów dwudziestolecia nad ulubionymi książkami dzieciństwa.

„Trocheje i daktyle są słodsze niż owoc daktyla,
W fibrach chorej mej krwi
amfibrach królkuje i chorej,
Nad lilie przekładam sny Leconte de Lisle’a
Henryku Heie, jak kwiaty pachnące wstęchnięcia
Piękniejsze są, niż ich pierwosy...
brzmiał manifest młodego Skaman-



„Wolność” — drzeworyt z książki Tomasza Murnera „Sprzysiężenie lute-rańskich głupców” Strassburg, 1522

dryty. Poemat Wygodzkiego nie ma z tymi tradycjami nie wspólnego. „Nad Engelsem” nie miało być poetycką transkrypcją dzieła historycznego. Jest ono wyrazem tego zasadniczego zwrotu, jaki dokonuje się w naszej nowej poezji, zwrotu do rzeczywistości, do spraw człowieka i jego walki o lepszy świat. Dla właścicieli, jedynie słusznej interpretacji bohaterów dzieł tej walki poezja nasza sięga do dzieł klasycznych marksizmu jako do mistrzów historycznego myślenia. „Nad Engelsem” znaczy — w szkole Engelsa. Z takiego zamyslenia nad dziejami walczącego człowieka, z gestu poety sięgającego po dzieła Marksa i Engelsa, Lenina i Stalina powstał tom Wygodzkiego „Nad Engelsem”. Kierunek ideologiczny zatem został oznaczony w sposób najtrafniejszy. Dzieło Engelsa ukazało Wygodzkiemu niezmiernie bogactwo spraw i wydarzeń walki chłopów niemieckich z potwornym uciskiem feudalnym książąt i szlachty, z wyższym usankcjonowanym religijnie uprawianym przez najzręczniejszych wówczas gniebieli ludu — dostojników kościoła, zerwało maskę sporów religijnych z najzaciętszych walk klasowych XVI wieku, przedstawiło przeciwieństwa między mieszczańską a chłopko-plebejską opozycją wobec ucisku feudalnego. Dzieło Engelsa pozwoliło dojrzeć w wojnie chłopów niemieckich walkę o lepszy, sprawiedliwszy świat, nauczyło kochać „niezgrabne lecz zacięte i silne postacie wielkiej wojny chłopskiej”. Czy jednak Wygodzki bezbłędnie, do głębi po engelsowsku potrafił zinterpretować wybrane w tomie wypadki wojny chłopskiej, czy przekazał czytelnikowi istotnie pełny rejestr spraw, jakie nasuwała historia walk 1525 roku? Te pytania winny się stać ośrodkiem oceny tomu wierszy Wygodzkiego.

I tu brudzić zaczęła sprawa kacerzkiej wieży i „suki, którą wabił Apollo”. „Przelizywanie” obrazu wojny chłopskiej, wyrażające się czasem w trochę placzyliwym sentymentalizmie i fałszywą „poetyzacją” („Pieśń o życiu pozagrobowym”) spowodowały zjawisko zamazania, braku wyrazistości rysunku historycznych wydarzeń. Epicki tok narracji zapewniłby tu szerokość i większą precyzję obrazu historycznego, pozwoliłby dojrzeć walczącego człowieka sprzed 400 lat w całej jego pełni, umożliwiłby głębsze przeniknięcie doświadczeń klasowych chłopów niemieckich XVI wieku.

Wygodzki usiłował ukazać wydarzenia wojny 1525 roku od strony działającego podmiotu historii — walczących mas chłopskich. Wiemy jednak od Engelsa, że masy te miały zacięmnioną świadomość klasową, że powstanie chłopskie zgubiło „bezzwrotną zaciętność i uparty prowincjonalizm”. Wygodzki nie obrał sobie niestety tego prawidłowego punktu obserwacyjnego, z jakiego mógł oglądać wydarzenia wojny chłopskiej jedynie plebejski rewolucjonista — Tomasz Münzer, o którym Engels pisał: „Jak filozofia religii Münzera zbliża się do ateizmu, tak jego program polityczny zbliża się do komunizmu... Program ten był nie tyle zestawieniem żądań ówczesnych plebejuszy, ile genialną antycypacją warunków wyzwolenia led-

wie rozwijającego się wśród tych plebejuszy żywiołu proletariackiego”. Nie chce przez postawienie tego zarzutu powiedzieć, że Wygodzki podzielił drogę Lassalle’a, który na głównego bohatera swego dramatu o wypadkach początków wieku XVI typował przywódcę szlachty — Franza von Sickingena. Wygodzki jednak nie obrał w interpretacji faktów historycznych drogi Engelsa, pozycji Münzera. Rzeczywistość, ujeta od strony przelizowanego „subiektywnego odczucia” i od strony często zacięmnianej świadomości klasowej chłopów szesnastowiecznych, nie uk-

Wygodzki nie zajęli miejsca obserwacji w ośrodku ruchu — partii münzerowskiej, nie ukazał tego „punktu szczytowego całej wojny chłopskiej”, o którym pisał Engels i to odbiło się jasniwie w pesymizmie poematu. Pesymizm ten znalazł wyraz przede wszystkim w doborze ukazanych w tomie wydarzeń, a więc uznanych przez autora za typowe, odzwierciedlające istotę ruchu. Akcent główny został tu położony na wypadkach rozgromienia, klęski, słabości ruchu. Jedynie „Pieśń króla żebraków”, bodaj najlepszy wiersz tomu, zawiera ów niezbędny akcent bojowości, wiary w przyszłe zwycięstwo:

„Jest niedza, która zdusi kata, są ludzie, co się sami zbawia.”

Takiej wiary jest jednak w tomie Wygodzkiego za mało. Pesymizm tomu jest w pełni uzasadniony, jeśli zważymy, że Wygodzki nie dostrzegł zawartej w programie münzerowskim „genialnej antycypacji warunków wyzwolenia ledwie rozwijającego się wśród (tych) plebejuszy żywiołu proletariackiego”. Przeczenie tych zarodków nowego w wielkiej wojnie chłopskiej 1525 roku pozbawiło Wygodzkiego owej tak charakterystycznej dla znakomitego dzieła Engelsa bogactwa i cennej aktualizacji. „Analogia między niemiecką rewolucją 1525 roku a rewolucją 1848-1849 roku była zbyt oczywista, aby można było wtedy całkowicie ją pominąć” — pisał Engels w przedmowie do wydania z roku 1870. Te analogie i różnice pojawiają się niemal na każdej kartce „Wojny chłopskiej w Niemczech”. Trzeba pamiętać, że analiza przyczyn upadku rewolucji 1848-1849 roku doprowadziła Marksa i Engelsa do sformułowania podstawowej idei socjalizmu — sojuszu rewolucyjnego proletariatu z masami pracującego chłopstwa. W cytowanej wyżej przedmowie do II wydania „Wojny chłopskiej” Engels pisał: „Te klasy (proletariatu rolnego — p.m.), bezsilna na skutek swego rozdrobnienia i rozproszenia... ożywić i wciągnąć do ruchu jest najbliższym i najpilniejszym zadaniem niemieckiego ruchu robotniczego. Z chwilą, kiedy masa robotników rolnych nauczy się rozumieć swoje własne interesy, reakcyjne — feudalny, biurokratyczny czy burżazyjny — rząd stanie się w Niemczech niemożliwym”.

Pesymizm tomu Wygodzkiego nie mógł mieć zatem źródła w lekturze dzieła Engelsa. Pesymizm, któremu dał tak dobitny wyraz Wygodzki w dwóch pierwszych częściach swego nowego tomu „Wierszy” (1950, nakładem „Książki i Wiedzy”), jest tu smutną ideową pozostałością niemości upadającej poezji mieszczańskiej. Odnajdujemy w zakończeniu poematu echo tych nastrojów:

„...i tkwiłem nad wodą i łakną i serca słuchałem — niepomny, jak ktoś, co się smuci rozłąką i w życie odchodzi — bezdomny”.

Jest to fragment najbardziej zastanawiający i zdradzający najgroźniejszą rysę ideologiczną poematu. Klimat emocjonalny zakończenia narzuca zupełnie anachroniczne analogie:



Chłopi niemieccy podczas gwałty, medyzjoryt Albrechta Dürera

to, że wyraża ona nastroje mistyczne po klęsce, zostało to zadokumentowane najsilniej. Nie zawsze Wygodzki potrafił zerwać maskę religijną, ową „aureolę świętości” z wypadków politycznych wielkiej wojny chłopskiej. Jednak akcenty religijne w takich wierszach jak „Pieśń o emisariuszu” i „Pieśń o sprawiedliwości” są najzupełniej słuszne.

Było by jednak nieuczciwością ze strony recenzenta tomu „Nad Engelsem”, gdyby nie wspomniał o III części „Wierszy”, zatytułowanej

„Dialektyka dziejów”, która jest wspaniałym i wzruszającym dokumentem dojrzenia poety do ideologii marksizmu. Na etapie strofy:

„Człowiek urasta — idzie w górę metrami pięt i codziń
w trudzie roboty dźwignij mu mury,
strofo, i wesprzyj w pochodzie.”
(„Kielnią i piórem”)

inaczej zapewne wypadłaby druga, nowa lektura dzieła Engelsa.

Tom Wygodzkiego, mimo wszystkich swoich błędów, stanowi wartościowy, wysoce artystyczny dokument przelotu w naszej poezji. Lektura Engelsa umożliwiła Wygodzkiemu dostrzeżenie bogactwa życia i walki chłopów niemieckich XVI w., chociaż nie wszystko potrafił Wy-

godzki naprawdę po engelsowsku zinterpretować. Uderza w tomie miłość dla walczącego o lepszą przyszłość człowieka, piękna stylizacja, często wyjątkowo trafna poetyckiego spojrzenia.

Największe jednak dzisiaj znaczenie cyklu wierszy Wygodzkiego polega na tym, że umacnia on przyjaźń narodów niemieckiego i polskiego, gruntowaną na podstawie wspólnej rewolucyjnej walki o pokój i socjalizm. Ukazuje bowiem walczących z uciskiem feudalnym chłopów niemieckich, umacnia międzynarodową tradycję walki z wyższym, uaoznaczając to, co formułował Engels w następujących słowach: „Również i lud niemiecki ma swoją tradycję rewolucyjną”.

Maria Janion.

JAN BŁOŃSKI

NOWA SZANSA POEZJI*

Będąc niedawno w Warszawie spotkałem pewnego znajomego powieściopisacza, który mnie w swoim czasie wprowadzał w skomplikowany świat zagadnień literackich. Rozmawialiśmy o wszystkim potrosze: w końcu o Morsztynie. „Morsztyn” — perorował mój rozmówca — „bliższy jest znacznie wielu współczesnym poetom, niż się to na ogół wydaje. Pisał przecież komplementy dla pań dworskich tak, jak wielu dzisiaj wypisuje rymowane komplementy rewolucji.”

Paradoks mojego znajomego należało potraktować jak żart, którym też jest w rzeczywistości, ale spróbujmy znaleźć punkt wyjścia tego tak okrutnego w gruncie rzeczy kawału.

Otóż odpowiedź jest prosta — nasi poeci — w wielu jeszcze wypadkach — nie posiadają dostatecznie osobistego, dostatecznie nowego, oryginalnego i pogłębionego intelektualnie podejścia do opisywanych przez siebie spraw. I to oczywiście mści się najbardziej na poezji twórców najbardziej doświadczeni: pewne ubóstwo koncepcji poetyckich, brak oryginalnego tonu wielu wierszy, sprawiających, że nad utworami wielu młodych poetów można by pozamięniać nazwiska, poetycka, a raczej niepoetycka huśtawka, pomiędzy „opisywactwem”, a deklaratywnością — wszystko to prowadzi czasem do owego „komplementarstwa” z paradoksu mojego znajomego.

Czas sprowadzić rozumowanie do właściwego tematu recenzji, którym jest „Nad Engelsem” Wygodzkiego. I) Otóż zwracamy się do niego prawem komentarza; powiedzmy od razu: Wygodzki pokazuje poetom drogę wyjścia z kręgu owego quasi — „morsztynizmu” — pewnego odłamu współczesnej poezji drogą intelektualnego pogłębienia samej koncepcji artystycznej. Powiedzmy zresztą otwarcie: nie sposób wzorować się na „Nad Engelsem” bezpośrednio, nie sposób dublować poematu; pomysł Wygodzkiego jest niepowtarzalny; chodzi raczej o kierunek poszukiwań poetyckich, o dążenie do głębszego, oryginalniejszego wykorzystania swoich pojęciowo-ideologicznych. Bo — niezależnie nawet od wykonania — Wygodzki trafił na nową żyłą poezji, spenetrował nieznaną dotąd jej zakątek — za sam pomysł „Nad Engelsem” należą mu się przede wszystkim słowa uznania.

Czas na bliższe wyjaśnienie, na czym polega oryginalność koncepcji poematu Wygodzkiego? „Nad Engelsem” ma za temat wojny chłopkiej w Niemczech XVI wieku, tak klasycznie w swoim czasie zanalizowane przez wielkiego współpracownika Marksa. Jednocześnie jednak nie jest „Nad Engelsem” poematem poetyckim; składa się z kilkunastu pieśni — bądź co bądź — lirycznych, o swoistym, stylizowanym charakterze. Wygodzki obrał bardzo ciekawą drogę: drogę rekonstrukcji uczuć historycznych, tzn. uczuć, które ożywiały bohaterów szesnastowiecznych walk klasowych w Niemczech; poeta kreuje historycznych, zbiorowych zresztą, bohaterów lirycznych; wchodzi niejako w skórę buntującego się chłopstwa, przemawia w ich imieniu — i jakby ich słowami.

Takby wyglądała pierwsza warstwa poematu. Druga — to zawarta dyskretnie między wierszami „Nad Engelsem” — klasowa, engelsowska właśnie interpretacja tych uczuć; pokazanie ich historycznych źródeł. W ten sposób nie uciekając się bynajmniej do obciążania poematu balastem faktów historycznych, programowo rezygnując z wszelkich akcentów epickich — wypełnia jednak poemat Wygodzkiego rolę komentarza do Engelsa.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej jednemu z fragmentów poematu. Weźmy np. „Pieśń o życiu pozagrobowym”:

„Ach ptaku, ptaszyno, ptaszysko, kozo, ach sarno, sarenko, znów światem wyjdziemy na rżysko, by wrócić do Pana z podzięką, ach trzcinco, ty trzcinco podwodna ptak czarny przeleciał i wolny, wiesz wraca do chałup, lecz głodna znów cierpi człowiek bezrolny.”

Ropucho, jaszczurko piaska, kacuszko i ty wodna kurko, wam wolno pomykać o brzasku i w wodę usioną dać nurka, podpiwać, zasywać się w zielsku, w szuwarze pomykać a chyzo. Po śmierci chwałą anielską Piotr do nas w niebiosach się zbliży.”

Cytowany fragment daje dobre pojęcie zarówno o koncepcji poematu, jak i o jego właściwościach stylowych, do których kurcze powrócimy. Zanalizujemy bliżej sytuację poetycką wiersza: wojna wygasa, bunt został zdławiony — to wynika z całości poematu.

Cóż pozostaje? Właśnie „Pieśń o życiu pozagrobowym” — liryka religijna, patrząc z pierwszego punktu widzenia — z punktu widzenia rekonstrukcji uczuć historycznych. A interpretacja tych uczuć? Te znowu zaznaczają w tym wypadku końcowe wiersze zwrotek — one wyznaczają ich historyczną genezę. W ten mój więc sposób — oczywiście w jak najrozszerzonym schematach formalnych — rozwiązany jest poemat Wygodzkiego.

Pozostaje sprawa ostatnia: kwestia stylu — w najszerszym tego słowa znaczeniu. Dwa składniki dadzą się pod tym względem łatwo wyróżnić w poemacie: po pierwsze, stylizacja na daną balladę, pieśń obozowa — stylizacja**, której wymaga aura uczuciowa poematu; po drugie: swoiście wykorzystane zdobycze lirycznej dwudziestego wieku. Jak to wygląda w konkretnym materiale poetyckim, da się łatwo wykazać na dowolnym fragmencie. Po stronie stylizacji: ogólny schemat wersyfikacyjny (jednolitość rytmiczna poematu), stylizowana składnia (punkt bardzo ważny! charakterystyczny, wyliczniki, tak zdania, sposób wiązania zdań — sądzę, że rzuci się to w oczy każdemu czytelnikowi „Nad Engelsem”, filologiczna dubanina będzie tu chyba zbędna), słownictwo (szczególnie w „Pieśni Wagabundów” i „Pieśni o życiu pozagrobowym”). Po stronie współczesnej techniki poetyckiej: po prostu typ metafory, wrażliwość asocjacyjna współczesnej poezji. I wtedy, kiedy te właściwości „współczesne” wleją się w formę stylizowanej pieśni obozowej czy ballady powstaje niekiedy gaduśtwa „woda” poetycka. Bo są to elementy bardzo różne i dozwolaj że trzeba bardzo starannie. Dlatego co do ostatniej, ściśle stylowej warstwy poematu musimy zgłaszać od czasu do czasu zastrzeżenia. Sąd zresztą pozostawiam czytelnikowi; oto, dla przykładu zwrotka, która wydaje mi się charakterystyczna dla wskazanych niebezpieczeństw stylu; zwrotka pochodząca z bardzo udanej, najpiękniejszej może z całości „Pieśni o zamkniętym na wieży”, zwrotka w każdym razie symptomatyczna:

„W Dunaju, gdzie stopą kamienną tkwi wieża wysoka nad głębią, gna woda i nocą bezdonna przepędza milczące głębie, a w murach, gdzie woda się sączy, i pluskiem depada do ciszy, wzięiony do plusku dołączy dźwięk oków, co jęku nie słyszą.”

Nie wszystko w tej zwrotce wydaje się artystycznie konieczne — nie zmienia to jednak w najmniejszym stopniu naszej zasadniczej opinii o poemacie Wygodzkiego. „Nad Engelsem” — jak to starałem się wykazać — charakter ostrzeżenia i przykładu jednocześnie; pokazuje nową szansę poezji.

*) Stanisław Wygodzki: „Nad Engelsem” Książka i Wiedza 1950, str. 40.

** Nieprawdopodobnością było by pominięcie w recenzji świetnie wychwytyjących tę stylizację drzeworytów Marii Hiszpańskiej.

Jan Błóński

TADEUSZ PAPIER

Gromada podjęła jeszcze w ubiegłym roku zobowiązanie, że do końca roku 1950 nie będzie we wsi ani jednego analfabety. Zobowiązanie to wiązało się z uchwałą Sejmu z 7 kwietnia 49 r. o likwidacji analfabetyzmu. Tow. Wilczyński, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, mówił wówczas: — Musimy wykonać naszą uchwałę, w ten sposób zniszczymy ostatnią zapórę, która hamuje rozwój świadomości ludzi pracy. W naszej gromadzie pozostało jeszcze 12 chłopów, którzy nie umieją czytać i pisać. Pomyślcie, od nas tylko zależy, aby przyczynić się do wykonania uchwały całego narodu.

Wypowiadając tę część przemówienia tow. Wilczyński skierował swój wzrok tam, gdzie stali bogacze — Mól, Zebrowski, Matusiak. Mogło to być zupełnie przypadkowe, ale dla części chłopów spojrzenie to i ruch ręką równało się najostrejszym słowom. Istotnie zaraz potem tow. Wilczyński powiedział: — Co tu owijać w bawełnę, my wiemy kto nie umie w naszej wsi czytać i pisać. Powiem nazwiska: Ziółowna, Plachta, Zuk, Wieczorek... Ja wypowiadam te nazwiska, ale czy to już mówi o wszystkim? Nie, trzeba by dopiero dodać: Ziółowna-służąca, Plachta-służąca, Zuk-odrodnik, Wieczorek-odrodnik i parobek. A potem trzeba by zapytać: kto winien?

Na tym pierwszym „sejmowym” zebraniu gromady tow. Wilczyński starał się od razu przeciąć wrzód tam, gdzie on najczęściej dokuczał. Usiłował wykazać, że sprawa analfabetyzmu łączy się z całym szeregiem innych spraw i że mówić o podjęciu walki z tym złem w oderwaniu od spraw gospodarczych, społecznych i politycznych gromady to tak jak gdyby zajmować się leczeniem wrzodów nie zwracając uwagi na przyczyny choroby.

Bogacz Mól, który zabrał głos jeden z pierwszych po tow. Wilczyńskim, starał się złagodzić „niektóre jaskrawsze i niesłuszne słowa” towarzysza sekretarza. Mól potrafił mówić długo i spokojnie. Miał zwyczaj trzymania lewej ręki na piersiach, wyglądało to jakby coś tam podtrzymywał. Niektórzy twierdzili, że Mól chowa w tym miejscu portfel z pieniędzmi. Przemawiając teraz robił wrażenie, jakby naprawdę dzielił się z chłopami swoim skarbem ukrytym pod włochatą dłoń. Mówił nawet dość przekonująco — owsem, walka z zacofaniem, ciemnotą jest jednym z „lepszych” posunięć „obecnego” rządu i chłopci przyklaskują tej walce. Rząd może liczyć na jedność chłopów w tej sprawie i gromada da dowody tej jedności, jak daje dotychczas przeprowadzając we wsi elektryczność. Mól nawet zdobył się w tym miejscu na dowcip, który rozśmieszył kilku obecnych w tylnych szeregach — no i co, czy gryzą się nasze pieniądze, składki moje i obywatela Zuka na elektryczność?

Wież leżała jakieś siedem do ośmiu kilometrów na północ od szosy powiatowej. Domy były rozrzucone nieregularnie, można było rozróżnić jednak starą wieś, skupioną koło postarzałego budynku szkolnego oraz kolonie. Te kolonie były świadectwem polityki bogaczy we wsi. Przed wojną chłopci mieli rozrzucone gospodarstwa w kilkunastu kawałkach. Mówiło się: Podboroniska, Kowalce, Glinki, Wierzbina, Piaski, Podgórze. I tak od Glinek do Podgórza było jakieś osiem kilometrów. Nikt we wsi nie oponował przeciwko komasacji. Ale dzięki zabiegom Móla, Zebrowskiego i Matusiaka w urzędzie ziemskim i gminie bogacze otrzymali najlepsze kaski, podczas gdy biedota musiała zadowolić się piaskami lub sapani. Wytworzyła się taka sytuacja, że jadro wsi, tzw. starą wieś, zamieszkiwali teraz w przeważnej części mało i średniorolni. Najlepiej miał się pośród nich Maćkowski, właściciel 5 hektarów, najgorzej Szafraniec i Zuk, którzy odziedziczyli po swych ojczymach po półtora hektara. Ziemia dalsze porozdzielali bogacze i ich rodziny. Gleba tam była lepsza, urodzajniejsza, a przy tym gorzej sklasyfikowana. Np. Zebrowski, który miał dawniej 18 hektarów, po komasacji miał ich 24. Wkrótce dokoła starej wsi wyrosły nowe domy i kępy ogrodów.

Mól i Zebrowski zdobyli się nawet na przeprowadzenie przez swoje grunta osobnych drózek aż do drogi gromadzkiej, która szła do szosy. Dróżki były wysadzone akacjami i kiedy drzewka kwitły robiło to niezłe wrażenie.

W ogóle krajobraz wsi należał do ciekawszych, okolica była pagórkowata, wzgórza układały się łagodnie półkolem w pewnej odległości od wsi, która leżała w kotlinie. Na wzgórzach rysowały się krzaki leszczyn i brzoź, zwiastujące pobliskie lasy. Droga gromadzka do szosy biegła stłup. Była to właśnie owa linia „wysokiego napięcia” o której wspominał Mól. Ale stłupy nie były jeszcze doprowadzone do samej szosy.

Z tą elektryfikacją było tak, że gromada postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję i przyłączyć wieś do sieci, która biegła szosą i obsługiwała miejscowości leżące

tuż przy niej. Plan państwowy przewidywał przyłączenie do sieci w najbliższym sześciolciu także dalszych wsi, ale chłopci chcieli wyjść naprzeciw planowi. Partia pierwsza wysunęła projekt. Elektryfikacja mogłaby wszystkim chłopów, a przede wszystkim obojętnych i uzależnionych gospodarzo od bogaczy jakoś zdynamizować. A o to przecież szło żeby ruszyć wieś. I tu włączyli się do gry bogacze. Mól natychmiast zorientował się, o co idzie Wilczyńskiemu. Łatwo zdobył dla swoich planów pozostałych. Bogacze tak łatwo nie chcieli zrezygnować z przewodnictwa w gromadzie. Wiedzieli, że nie należy wypuszczać z rąk żadnej inicjatywy. Rachunek był prosty. Dotychczas oni byli mecenasami wszelkich akcji gromadzkiej i tutaj nadarzała się sposobność uchwycenia inicjatywy w swoje ręce. Ostatecznie partia mo-

że planować, ale koniec końcem kto będzie za to wszystko płacił? Oczywiście, że największe udziały przypadną bogaczom, zatem oni winni mieć w tej sprawie głos decydujący. Ostatecznie nie jest to gra, która się nie opłaca. Wiadomo, czym jest w „porządnym” gospodarstwie taka siła, jak elektryczność.

Wkrótce zawiązał się komitet elektryfikacji. Mól i Zebrowski weszli do niego. Na zebraniach gromadzkiej opodatkowano się 800 złotych w tej sprawie. Wiadomo, czym jest w „porządnym” gospodarstwie taka siła, jak elektryczność.

Sprawa więc od strony politycznej, jak stwierdzano, na zebraniach partyjnych, wazyła się. Istotnie chłopci „dali się ruszyć”. Ale bogacze grali na swojej stronie i sam fakt ich wejścia do komitetu mógł uchodzić słusznym za pewnego rodzaju zwycięstwo Móla. Oczywiście

ście tak oceniał sytuację Wilczyński i jeszcze kilku z partii, ale spora część chłopów nie widziała w tym nic specjalnie zdołnego. Chodziło jednak o opinie całej wsi. Zagadnieniu temu poświęcono były dwa kolejne zebrania Podstawowej Organizacji. Wilczyński stawiał sprawę tak: walka z wyzyskiwaczem więcej na każdym kroku. Jeśli więc — nowi! — chwilowo Mole cieszą się swoimi sukcesami, to trzeba wymyślić taką rzecz, która by ich pobiła. A tą rzeczą będzie walka z analfabetyzmem.

Początkowo trudno było uchwycić myśl towarzysza Wilczyńskiego. Później zgodzono się. Istotnie — cóż to jest walka z analfabetyzmem — nic innego, jak włączenie pokrzywdzonych przez poprzedni ustrój obywateli do pełnego uczestnictwa w życiu społecznym i politycznym gromady. Kim są analfabeci w naszej gromadzie, wykazał to Wilczyński na pierwszym zebraniu poświęconym tej sprawie. Podjął walkę z analfabetyzmem to znaczy odebrać bogatym ich dotychczasowych „klientów”, więcej — zwrócić ich przeciwko wyzyskiwaczom. Tak — był to dalszy etap walki klasowej i w tym oświetleniu sprawa elektryczności nabierała nowego zabarwienia, walka zaś z analfabetyzmem stawała się zagadnieniem kluczowym.

Jednak sytuacja początkowo nie przedstawiała się prosto. Nauczycielka, Zofia Stachurska, meldowała, że już sama rejestracja analfabetów nastrocza wiele trudności. Zachodzi obawa, że we wsi jest więcej analfabetów, niż wykazują zgłoszenia. Sprawa miała być według nauczycielki „delikatna”. Tow. Wilczyński nie nazwał jednak sprawy delikatną a polityczną. Statystyki wykazują, że największy procent analfabetów w kraju, bo około 75, to bezrolni, małorolni i średniorolni chłopci. Gdzie zatem należy szukać naszych chorych? I kto jest mecenasem tej choroby?

Nieraz do późnej nocy chybał się nikły płomyk lampy nafto-

D W A A B E



STANISŁAW PIĘTA

LIST DO ŻONY

Oto szczęśliwy stoję pod niebem ciemniejącym, gwiazdy
Nie weszły jeszcze, światło jaskółkami dotyka wód.
Eylem dziś w polu, doświadczyłem na żniwiarce jazdy.
Teraz niesie mię jak ważkę powietrze do rodzinnych wrót.

Gwar, gwar tu płynie i przypomnienie oczy porywa,
Na wzgórkach dzieci czerpiąc ciszę otworzyły usta.
Otula ich ciężarna od zapachów smuga siwa.
Stoczą się z nią jak koła, sprawdzą, że ziemia kulista...

Tak, nie próżnuję, bezustannie prowadzę rozmowy.
Wczoraj w świetlicy pieśni... Drzemiącego zastał mię brzask
Ludzie dręczą się, w lęku podrywają głowy.
Pochyli ich już jednak ku nowym formom życia czas.

Kochana, lekko, radośnie mi, że wstydzę się szczęścia.
Przyjechałem nie na spoczynek wszakże, nie na zabawę.
Gdybyś jednak tu była, nie chciałabym męstwa.
Dzieci, wierzy i szumy westchnieniem brodzą po trawie.

I ktoś śpiewa, już nad głowami gwiazda się lasi.
Gdybyś choć przeszła obok, gdyby odetchnął choć twój cień
Jakaż pełnia byłaby czucia. Noc świetelka gasi,
spłynie po żniwnym trudzie w powiewie nowin kruchy sen...

PRZY BUDOWIE

Wzniesiono z powietrza i cegły gromadzką budowlę.
Domy przy niej się kulą jak zmuszalne stodółki.
Godło w kwiatkach na krokwi chyli się jak młode orły.
Szukają miejsc dla gniazd spokojnych młodzieńckich jaskółki.

Ostatnie uderzenia młotków — i jeszcze — i jeszcze...
Tak, drodzy, czas już odetchnąć, oczy latem ubawić.
To niebo daje cię tak czuły na lekkiej ścieżce,
że drżą dziś głowy dziewcząt w nim i szepc zdumionej w zasłuchaniu trawy.

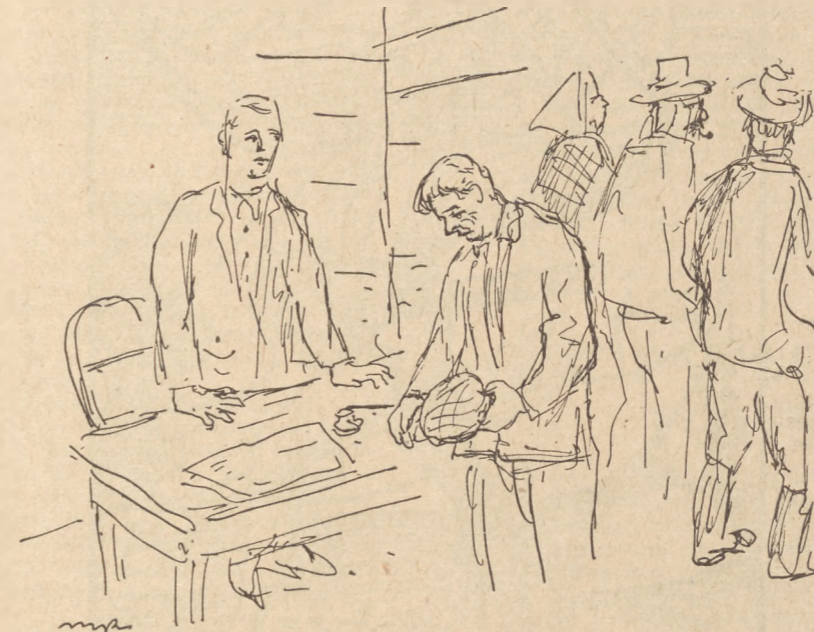
Przerwa w robocie. Nie tylko mężczyźni dla spoczynku swego
szukają podszycia krzaków i warg wysychającego strumienia.
Błyska śmiech. Na stopę jednej z śpiących dziewczyn
promień wzedł, lecz zgwał od czyjegóż westchnienia.

To młody cieśla odetchnął i podniósł twarz bledszą.
Natchnienie chwili przebiło mu skroń jak igielki.
Ujrzał sąsiadkę, co spała, jako żonę swoją.
U jej stóp wschodziły dzieci jego — mieniące się żyta kielki.

Wiosną 1949 roku.



Nauczyciel wiejski ze wsi Mirków — Antoni Słowiński



Rys. Marek Rudnicki

KAZIMIERZ BARTYZEL

DROGA NA

Urodziłem się 4 sierpnia 1914 r. w Ostrawie Śląskieckim powiat Bochnia. Dzieciństwo spędziłem beztrosko u dziadków, bo ojciec przez 4 lata bronił w Bośni, Serbii, Tyrolu, sław Habsburgów i potęgi nieboszczki c. k. Austrii.

Po powrocie z poszarpaną przez szrapnele nogą — doszedł do wnióska, że z 1 morga podmokłej ziemi nadrabiańskiej nie utrzyma rodziny i przeniósł się na kolonię Poraj w gminie Horodło pow. Hrubieszów. Kolonia była marna, 4 hektary ziemi piaszczystej. Do roku 1945 „przednowek” był corocznym naszym gościem, 4 ha piaszczyn nad Bugiem pozwoliły utrzymać 1 konia i to nie stałe, 1 krowę, 1-2 świnię i pewną ilość drobiu.

Zycie w każdym razie co roku zamiast polepszać się, to z przypo-waniem nowych członków rodziny pogarszało się. Jako najstarszy musiałem pomagać ojcu we wszystkich pracach, aż do opuszczenia kolonii, to jest do r. 1931. Praca to była nie łatwa — odbieranie zboża spod kosa, młócenie (w 12 roku życia) i odrobki u bogaczy. Najwięcej denerwowały mnie odrobki, stale zdawało mi się, że męczę się dla dła kogoś, kto sobie z mojej pracy wygódnie żyje.

Do szkoły powszechnej zacząłem uczęszczać normalnie, z tym, że czytałem już dobrze umiałem, gdyż nauczyła mnie przez zimę sąsiadka Nowakowa, dla której do dziś żywię wielką wdzięczność. Nauczycielem moim przez pierwsze 4 lata był młody, dzielny i rwały się do życia człowiek, Leon Szymański. Sam dokształcał się, gdyż nie posiadał kwalifikacji, ale dla kolonii był człowiekiem „opatrznościowym”, bo nie tylko dobrze uczył, ale przyczynił się do wybudowania szkoły, założył Koło Młodzieży Wiejskiej, Koło Rolnicze, Koło Gospodyń Wiejskich. Dla mnie był to wzór nauczyciela, któremu z wdzięcznością rozmawiałem się w czystelnictwie i drogę, którą sobie obrałem.

Klasy wyższe skończyłem w pobliskim Horodle, cichej, zamarłej osadzie nad Bugiem. Po ukończeniu klasy szóstej zdawałem do III klasy Państw. Gimn. im. Staszica w Hrubieszowie. Nie zdałem rzekomo z religii i z niemieckiego, jak oświadczonej ojcu, a właściwie dlatego, że kandydatów było ośmiu, a miejsce jedno, które z góry było zarezerwowane dla ucznia z Sokala. Mogłem być przyjęty ale do klasy II czyli rok wstecz.

Po ukończeniu klasy VII wróciłem do domu, jak i wszyscy moi rówieśnicy. O nauce dalszej nie było mowy. Aby zarobić na ubranie i buty sadziłem drzewka nad Bugiem. Pożar, który zniszczył ojcu cały dobytek, zniszczył też moją nadzieję wyrwania się w świat. Nowy rok szkolny zacząłem od wyjmowania ze zgłiszczy spalonych obręczy od wozu i młynka.

Rok ten był dla mnie męczarnią. Ale w następnym roku, kiedy odrabiałem szarwark koło szkoły zobaczyłem afisz o zapisach do Seminarium Nauczycielskiego w Szczeborzynie pow. Zamość, obudziła się we mnie nadzieja na dalsze studia. Ojciec też parł do tego. Kwestia podania, świadectwa lekarskiego została załatwiona w ciągu 3 dni. Ku mojej nieopisannej radości dopuszczono mnie do egzaminu, który złożyłem pomyślnie mimo przerywanej nauki tylko dzięki wielkiemu czytaniu, jak ocenili to polonista, a obecny wizytator lubelski Schreiter Waclaw.

Teraz dopiero zaczęła się tragedia. Kierownictwo internatu określiło kategorię wymaganej ilości bielizny i pościeli. Tymczasem metr żyta spadł na 12-9 zł, a jajko na 3 gr. Jak pokryć koszty internatu wynoszące 45 zł miesięcznie, o tym nie miałem pojęcia. Wiedziałem, że chcę i muszę się uczyć. Niedługo trwała radość z pobytu w Seminarium, bo po tygodniu dyrektorka odezwała mnie po pieniądze. Pożyczka 100 z w wspomnianego wyżej nauczyciela Szymańskiego uratowała sytuację na jakiś czas. Drugi rok zaczął się gorzej, gdyż pogłębiający się kryzys nie pozwolił ojcu wydobyc groza, a wypalone latem piaszczyste zagony poza żytem, owsem i ziemniakami nie dały. Zresztą cóż można było tego zboża sprzedać, jeśli 1/4 trzeba było zwrócić za przednowkowy kredyt, a z reszty zapłacić podatki, okryć, nakarmić pozostałe w domu 9 gób.

Nic dziwnego też, że pewnego dnia Rosjanka, przypadkowo będąca u mej gospodyni, gdzie się przeniósłem z internatu, znalazła mnie bredzącego w gorące głodowej. Alarm podniesiony przez nią wstrząsnął szkołą, przyszedł lekarz, wezwano telegraficznie ojca i po konferencji kazano mi zabrać mnie do domu, skąd miałem co kwartał dojeżdżać i zdawać jako ekstern. Wiedziałem, że to wybieg tylko, by się mnie pozbyć, a ja miałem wyciąż przed oczyma liza ojca za szybą przekalkani i moje postanowienie powzięte wtedy, że nie dam się.

I nie dałem się. Interwencja prof. Niteckiego Benona i obecnego dyrektora Liceum w Tomaszowie prof. Krzyska spowodowały, że zostałem. Poznanie kilku robotników ułatwiło mi otrzymanie pracy fizycznej w cukrowni Klemensów, odległej od szkoły 3 km. i pozwoliło wreszcie odetchnąć, że jutro dyrektor nie wyśle mnie ze szkoły do domu po pieniądze. Dzień miałem podzielić w ten sposób, że lekcje skończyłem o 13.30 a o 14 już na głos syreny zaczynałem pracę. Praca była ciężka, bo w kilkudziesięciu stopniach gorąca i trwała bez przerwy 2 godz., a wolną godzinę wykorzystywałem na naukę, by znów ciągnąć w piekielnym upale dalsze 2 godziny i tak aż do 10 wie-

czorem. O tej porze wracałem do internatu (przez płot, bo brama była zamknięta), budziłem mego przyjaciela Włodka Zajęca (dzisiaj dzielnego i cenionego inżyniera górnika na Śląsku), z którym pochłuzamykalimy okno salki i od 23-jej do 1-2 rano, poki nie zgłosi światło, słuchałem objaśnień matematyki i fizyki, w których mój przyjaciel był celujący.

Praca naturalnie była wiadoma tylko kilku kolegom, dyrektorka i profesorkowie nie o niej nie wiedzieli. W fabryce byłem jakby dzieckiem robotników. Tam też tow. Buczek poznał mnie z dziełami Marksa, które w tajemnicy kolportowano i tam też w dyskusjach, którym się przysлуchiwałem i w których brałem udział, krystalizował się mój światopogląd.

Tyfus brzuszny rzucił mnie na łóżko szpitalne, a miejsce moje w pracy zajął przyjaciel Włodek Zajęca. Jakoś wyleczyłem się. Wróciłem do szkoły. Tu czekały mnie 3 oceny niedostateczne — „z powodu zaniedbania się”. Jakoś wykaraskałem się i trzeba było przenieść się do Szczeborzyna do Leśnej Podlaskiej, gdy nasz zakład z pięknym dorobkiem, wysokim poziomem naukowym, dobrymi nauczycielami zlikwidowano.

Seminarium w Szczeborzynie miało chlubną swą kartę. Wyszli z niego tacy, co otrzymywali po maturze 8 lat więzienia w Zamościu za „komunę”. Dyr. Cybulski, prof. Krzyski, Malik, Nitecki, Fenc, dr Klukowski, ks. Krukowski — przeniesieni za „wolne poglądy” aż do Mołodeczna — to grono, które dobrze się zasłużyło na polu oświaty.

Pobyt mój w Leśnej Podlaskiej trwał krótko, bo zaledwie pół roku. Zakład rzucony w lasy i piaszki Podlasia, między klasztor Paulinów i więzienie nie nastrojał mnie już tak do pracy, jak poprzednio, toteż przenieśliem się do Krakowa.

W Krakowie odpadał przynajmniej kwestia internatu, bo mieszkanie kosztowało 8 zł a życie 7. Kupowało się bochenek morawskiego chleba na Rajskiej za 23 gr i żyło się po wypiciu wody z kranu cały dzień.

Dziwny był zespół kolegów w Krakowie. Były to różne odpadki z gimnazjów, czasami nawet wykojeńcy, którzy przewędrowali sporą ilość szkół popychani przez protekcję i błaganie różnych mamus. W każdym razie w zespole, z którym uczęszczałem, na 40 kolegów moich 5 poszło na nauczycieli („tych najgłupszych”), a reszta dzisiaj to kupcy, spółdzielcy, szoferzy, urzędnicy, a nawet zawodowi kawiarniani muzycy, natomiast wyżej opisane seminaria prowincjonalne dawały prawie wszystkich oddanych pracy nauczycielskiej kandydatów. Poziom naukowy był też znacznie niższy od po-

C A D Ł A

wej w izbie Wilczyńskiego, albo w szkole u nauczycielki, gdzie najczęściej odbywały się narady. Zdarzyło się, że świt zastawał jeszcze chłopów radzących nad jakimś zagadnieniem. Odkrycie jeszcze jednego analfabety i to spośród członków organizacji partyjnej, tow. Szafranca, przekonało jak trudny jest ten problem.

Tow. Szafraniec wstąpił do partii niedawno, gdzieś na początku '9 roku. Do organizacji wciągnął go tow. Wilczyński. Szafraniec uprzednio nie należał do żadnego stronnictwa, jego pozycję w gromadzie określała funkcja parobka i odrobnika. Szafraniec wynajmował się do sezonowych robót u bogaczy, zwłaszcza prowadził ożywcze stosunki gospodarcze z Mółem, który go wykorzystywał romantycznie. Szafraniec miał rodzinę złożoną z pięciorga osób, żył jeszcze starszy ojciec, który na wiosnę wypłacał koszty z wikliny i w ten sposób pomagał synowi, była poza tym żona i troje dzieci. Trudno było wyżyć z półtora hektara i u Szafranców stale gościł przednówek. Mimo nędzy Szafraniec nie pozwolił dzieciom iść na służbę, pilnował, żeby regularnie chodzili do szkoły. — To, co mnie odjęto, wy otrzymajcie — mówił często i harował po całych dniach, aby dzieci mogły spokojnie się uczyć. Ten jego upór i cicha, zawzięta walka z przeciwnościami zwróciły uwagę członków partii, którzy postanowili mu pomóc. Dzieci uczyły się dobrze, najstarszy Zenon został skierowany w 48 r. do gimnazjum. Szafraniec chodził uradowany po wsi, miał być z czego dumny, zdawało mu się, że dorównuje już Mółowi, którego wszystkie dzieci uczęszczały do gimnazjum. Ten nastój chłopia wykorzystał Wilczyński, który podsunął mu nową myśl, aby Szafraniec wespół z Zukiem i jeszcze jednym z sąsiadów założyli grupę plantatorów buraka cukrowego. Oderwało to chłopca od bogacza, który widząc, że mu odpada jeszcze jeden „klient“ poczęł Szafranca szkanować. Chłop poczuł za sobą siłę: w krótkim czasie stał

się najzawziętym wrogiem bogacza, walcząc z nim na każdym kroku i odkrywając niektóre jego tajemnice; zaskodził zwłaszcza Mółowi wyjawieniem ukrytych dochodów zbożowych, kiedy bogacz w tym samym czasie wnosil podanie o obniżenie stopy podatkowej. W tym czasie Szafraniec zaczął uczęszczać na zebrania partyjne i wkrótce złożył deklarację przystąpienia do partii.

Nikt nie podejrzewał Szafranca, że jest analfabeta, bo jakkolwiek do szkoły przed wojną nie chodził, to jednak wiadomo było, że umie się podpisywać. Więcej, przed wojną, kiedy był na służbie u Móla, często zrywał wiece bogacza, który mając swojego poręczyciela uwalniał się w ten sposób od przysług innych bogaczy i sam nie wysiadywał nikomu podobnych „grzeczności“.

Odkrycie kalectwa Szafranca nastąpiło zupełnie niespodziewanie podczas jednego z zebrań, kiedy tow. Wilczyński nakazał mu w pewnej chwili spisać obecnych. Nikt nie spostrzegł zmieszania Szafranca oprócz Wilczyńskiego, który tę sprawę zatuszował, a'e na drugi dzień zebrał posiedzenie egzekutywy partyjnej.

Sprawa Szafranca była tedy sygnałem alarmowym i ukazywała w nowym świetle walkę z analfabetyzmem. Tym razem egzekutywa skrytykowała mocno tow. Wilczyńskiego, że zlekceważył i nie wykorzystał organizacji masowych, zwłaszcza ZSch, Ligi Kobiet i ZMP. Można było cały szereg osób wciągnąć do pracy, zwłaszcza w zakresie indywidualnego przygotowania niektórych analfabetów do egzaminów przed społeczną komisją egzaminacyjną. Chodziło tu zwłaszcza o sytuacje wyjątkowe jak np. tow. Szafranca. W sekretariacie organizacji leżały trzy zgłoszenia zetempowców, którzy ochotniczo chcieli pomagać w nauczaniu analfabetów. Proponowali oni nauczanie indywidualne w wypadkach, gdyby niektórzy chłopci

krępowali się przychodząc do szkoły.

Tow. Szafraniec nie zgodził się na „osobną“ naukę. Przeciwnie, nawet z pewnego rodzaju demonstracją zapisał się na kurs po krytyce partyjnej, która mu wykazała, że błąd jego polegał na braku zaufania do partii i towarzyszy. Wbrew ironicznemu uśmiechowi Móla, który go zagadywał, czy potrafiłby odczytać wiece, podpisywane przez siebie, chodził regularnie na lekcje. Ale też z większą niż dotychczas zawziętością począł pomagać tow. Wilczyńskiemu w akcjach podejmowanych przeciwko bogaczom, zaczął się interesować zwłaszcza postępnymi pracami elektryfikacyjnych, wglądał w wykazy wpiętych składek i odbytych szereków.

Właściwie okazało się, że Szafraniec był powrotnym analfabeta i

dość szybko przyswajał sobie sztuki czytania i pisania. Ponieważ kilku jeszcze innych chłopów czyniło szybsze postępy w nauce, nauczycielka rozdzieliła kurs na dwie klasy, do jednej uczęszczał początkujący, do drugiej — bardziej już zaawansowani jak Szafraniec, Płachtówna i Ziółówna. Ten drugi kurs odegrał dużą rolę w walce klasowej rozgrywanej się na wsi. Oprócz aktywisty Szafranca poczęły się wybijać społecznie niespodziewanie dla całej gromady Ziółówna i Płachtówna.

Zyciorysy tych dwóch kobiet były podobne. Płachtówna w swoim pierwszym wypracowaniu pisała: „Urodziłam się 10.XII.1917 r. Do szkoły nie chodziłam wcale. Rodziców nie pamiętam. Byłam na wychowaniu u jednego gospodarza. Tam pracowałam w gospodarce“. Ow gospodarz to właśnie Zebrowski, który nakładał żyto do maszyny,



Rys. Marek Rudnicki

ski, który jeszcze do niedawna uchodził za dobroczyńcę Katarzyny Płachty. Zebrowski zaraz po śmierci starych Płachtów opierając się na jakimś powinowactwie przysięgnął do siebie małą Katarzynę. Katarzyna spadła mu, jak się to mówi, prosto z nieba. Potrzebował na gwałt pastucha, skąpy był i z góry martwił się, ile trzeba będzie płacić jakiemuś wynajętemu „dzia-dowi“. Przyjęcie Katarzyny ratowało sytuację. W parę lat później, kiedy „ujno“ Zebrowska zachorowała na nogi, Katarzyna zastępowała gospodynię i często nawet parobka. Od 1923 do 48 roku Katarzyna była na „wychowaniu“ u Zebrowskiego, który jej nie nie płacił. Oczywiście Zebrowski był innego zdania i powtarzał, że mu się nie opłaci „skórka za wyprawę“. Niektórzy chłopci mówili — mocie wygodę z Kaską — Zebrowski machał drwiąco ręką. — Co ta z tym tłumokiem się robi, tyle, co kłopot!

Zyciorys Ziółówny był podobny. Ziółówna skończyła przed wojną 3 klasy szkoły powszechnej, dalej uczyć się nie mogła, musiała iść na służbę. Z czasem „zapomniała liter“. Stary Ziół miał dwa hektary ziemi i czworo dzieci.

Sprawa zatem na obecnym etapie wyglądała tak, że we wsi działały, jeśli tak rzec można, dwie przeciwne siły: bogacze i partia. Za partią szli „klienci“, niektórzy średniacy oczekiwali. Bogacze i partia starali się oddziaływać na średniaków. Najpoważniejszym terenem tej walki była akcja zwalczania analfabetyzmu.

Zaraz też po pierwszej lekcji wypłynęła sprawa nieobecności kilku kursistów. Opiekun społeczny mając poparcie Podstawowej Organizacji uczynił z tego alarm na całą wsi. Na 14 uczestników kursu nieobecni byli: Katarzyna Płachta, Janina Ziółówna, Stefan Zuk, Adam Miernik. Płachta musiała w tym czasie pomagać przy młócie, Ziółównę zatrzymał matusiak, Zuk był u odrobku, a Miernik nie przyszedł, bo był zajęty „koło domu“. Fronckowiak wyciągnął z tego konsekwencje wysyłając odpowiednie pismo do Matusiaka, Móla i Zebrowskiego. Jednocześnie członkowie Podstawowej Organizacji komentowali na wsi postępek bogaczy, jako akt wrogiego skierowany przeciwko chłopom, pozostający w sprzeczności z obecnym oświadczeniem „tej złoćtej mordercy“, jak Szafraniec nazywał Móla.

Dopiero na piątą czy szóstą lekcję zebrał się pełny komplet. Nauczycielka zastosowała tutaj pewien chwyt, który uczynił z lekcji oskarżenie skierowane przeciwko bogaczom. Każdy z uczestników kursu wstawał po kolei i mówił o przyczynach swojej nieobecności na poprzednich lekcjach. Widać było, że słuchający przejmują się więcej cudzym niepowodzeniem niż swoim. Swoją rolę był tak powściągnięty, codzienne jarzmo, do którego się przywykło od wielu lat, że trzeba było cudzego nieszczęścia, aby się w nim przejrzeć, jak w lustrze. Kiedy Katarzyna mówiła: — Na pierwszej lekcji gospodarz ka-

na drugiej pojechał do miasta, a ja musiałam opatrzyć gospodarstwo, kiedy była trzecia lekcja, to ja musiałam iść do Matusiaka, gospodarz winien mi być z kolei pomoc przy młócie, zresztą mówił, że na moje wykształcenie to i tak czasu starczy. — Zuk nie wytrzymał i krzyknął — A, skurwysyn! Wcale to zebrań nie rozśmieszyło, choć często reagowali śmiechem na częste przekleństwa Zuka. Przeciwnie, jego przekleństwo było pierwszym zbiorowym, odruchem buntu najbardziej upośledzonych dotąd członków gromady.

Nauczycielka wprowadziła później zwyczaj zaczynania lekcji pytaniem. — Co słychać we wsi? Uczniowie rozgadywali się o miejscowych bolączkach, wytwarzała się atmosfera wspólnoty, tym bardziej, że kursисти rekrutowali się przeważnie z matorolnych, trzech tylko miało powyżej 4 ha, więc i kłopoty były podobne. Z czasem nauczycielka wyrobiła sobie pewien system pytań, które łączyły się tematycznie z bieżącą lekcją. Omawiała konkretny wypadek, który zdarzył się we wsi i w ten sposób kruszyła krok za krokiem mur starych poglądów. Tow. Szafraniec nazywał to budzeniem świadomości politycznej. Sam kurs miał niesłychanie ważne konsekwencje społeczne.

Wypłynęła najpierw sprawa Katarzyny. ZMP przeprowadzało wówczas kampanię w obronie parobków i służących i Fronckowiak jako opiekun społeczny i przewodniczący ZMP postawił tę sprawę przed kursistami. Dlaczego Zebrowski nie płaci Katarzynie? Z jakiego tytułu ją wykorzystuje? W jakim czasie potem, kiedy Fronckowiak zebrał materiały dowodowe i w stosunku do innych kursistów, wytoczył sprawę Katarzyny, Ziółówny i Zuka. Jak się należało spodziewać bogacze stawili opór. Nie chcieli słyszeć o ustępstwach. Ale to tylko rozjaśniło sprawę i jeszcze bardziej wzmocniło front „klientów“. Kursисти weszli w nowy etap — zorganizowanej walki o swoje prawa.

W domu Zebrowski urządzał teraz awantury Katarzynie, ale ta odpowiadała mu na każdy jego atak. Zebrowskiego śmieszyły początkowo uwagi Katarzyny, widział w nich nieudolne powtarzanie zdań Wilczyńskiego, lecz niebawem spostrzegł, że dziewczyna na wiele spraw patrzy teraz inaczej niż dawniej. Zaczął być nawet ostrożny w wypowiedziach przy niej i zalił się Mółowi, że ma szpiega w domu. Później przestał się wdawać z nią w rozmowy, w chwilach zdenerwowania odsyłał ją do wszystkich diabłów. Dziewczyna odpowiadała, że woli towarzystwo diabłów niż kulaków.

Niebawem wieś przeżyła jedną z sensacji — Katarzyna opuściła Zebrowskiego i w kilka dni potem otrzymała pracę w gminnej spółdzielni Samopomoc Chlopska. Było to w czerwcu, a więc w jakimś pół roku, odkąd Katarzyna zaczęła uczęszczać na kurs.

To była historia, która bezpośrednio dotykała Zebrowskiego, ale i Mól był też oburzony. Nic innego, tylko Wilczyński, albo ten „mędrak“ Szafraniec podburzył Katarzynę, bo skądby zaraz i pracę otrzymała? Cios spadł zbyt nagle, by Zebrowski mógł temu przeskodzić. Któregoś dnia rano bogacz naprzędno oczekiwał na śniadanie. Zaszedł do kuchni, gdzie Katarzyna sypiała i zaniepokoił się wyjątkowym porządkiem, jaki zastał. Łóżko było zasłane, kuchnia zamieciona, garnki oczyszczone. Brakowało świątecznego odzienia Katarzyny. Poczuł niepokój, który koło południa przeszedł w pewność. Katarzyna uciekała. Wówczas jakby się wściekł, jednym kopnięciem nogi rozwałił przyzę Katarzynę i poczęł tak kłać, że parobek i pastuch zniknęli mu z oczu na cały dzień. Potem nie uczyniła już na nim większego wrażenia wiadomość, że Ziółówna otrzymała pracę w fabryce i jednocześnie chodzi do szkoły zawodowej. Nawet się do pewnego stopnia ucieszył, że i Matusiaka spotkała podobna przyjemność.

Zdawało by się, że elektryfikacja wsi i awans Katarzyny i Ziółówny są to odległe i nie mające nic wspólnego ze sobą sprawy. Mól i Zebrowski przekonali się, że tak nie jest. Ciężkie ale skuteczne zmaganie analfabetów z bogaczami pobudziły wieś do czujności. Zaczęto inaczej patrzeć na pewne sprawy. Dzięki na przykład Katarzynie, która odkąd zaczęła chodzić na kurs, przysłuchiwała się uważniej rozmowom swojego gospodarza z sąsiadami (dawniej nie liczyła się, była niemal rzeczą, można było przy niej wszystko mówić) wyszło na jaw, że Mól i Zebrowski i Matusiak od kilku miesięcy stosowali specjalną taktykę szantażu wobec sprawy elektryfikacji. Sami zalegali z opłatą składek, podczas gdy z pewnego rodzaju nadgorliwością ściągali te składki od biedaków. Zuk również zwrócił uwagę podczas jednej z lekcji, co potwierdzili inni, że wydaje mu się podejrzana postawa skarbnika Zebrowskiego. Szafraniec postawił tę sprawę na zebraniu Podstawowej Organizacji. Próbowano odcyfrować politykę bogaczy i, jak wykazały późniejsze wypadki, odcyfrowano słusznie.

No tak, dla bogaczy elektryfikacja nabrała teraz innego znaczenia. Okazało się, że akcja z analfabetami dała już pewne rezultaty. Wraz z poznaniem abecadła litero-

wego kursисти poznali abecadło polityczne. Zuk na przykład siedział w szkole na miejscu swojego syna i codziennie wpatrywał się w jakiś napis na ławce nie mogąc go odczytać. Dopiero po paru lekcjach, kiedy nauczył się za nauczycielką przerysowywać swoje nazwisko, dokonał ośniewającego odkrycia: przeczytał swoje nazwisko wymalowane atramentem na ławce. Ale wraz z radością ze swojego zwycięstwa targnął nim i gniew, że syn niszczy dobro państwowe. Sam te ławki przywoził zaraz po wojnie.

Bogacze widząc, że walka z analfabetyzmem daje pewne rezultaty, czasami dość nieoczekiwane i nieprzejmne dla nich, postanowili uderzyć w tę akcję. Bezpośrednio nie mogli, do szkoły nie mieli dostępu. Ludzie też odwracali się od nich. Coraz trudniej było nawet o robotnika w czasie gorętszych robót pólnych. Postanowili uderzyć w elektryczność. Tu mieli jeszcze wpływy. Uderzył zaś w elektryczność to znaczy to samo, co podciąć inicjatywę gromadzką. Zasiłek niemierny, że bez nich i bez ich pomocy gromada nie wykona.

Zuk miał rację. Zebrowski prowadził dość ordynarną grę. Udało mu się polityką składową wywołać tu i ówdzie pewne zamieszanie. Niektórzy chłopci poczęli sarkać. Na co elektryczność? I bez niej można wyżyć. Na czerwcowym zebraniu komitetu elektryfikacji czekało jednak bogaczy nowe rozczarowanie. Tow. Wilczyński postawił wniosek, aby Mól i Zebrowski ustąpili z komitetu, gdyż od kilku miesięcy, jak wykazały badania tow. Szafranca, wyraźnie sabotują prace komitetu. Mól zakwestionował ważność badań Szafranca, Wilczyński jednak odpowiedział, że tow. Szafraniec miał zlecenie od partii zbadać dokładnie tę sprawę. A partia ma obowiązek zajmować się sprawami wsi.

Szafraniec wówczas wyjął swoje notatki, widać było, że układa je z pewnym upodobaniem. Był to jego pierwszy występ publiczny w którym posługiwał się zapiskami. Mól z pewnym niepokojem poczęł wpatrywać się w ostrą twarz swojego byłego parobka. Szafraniec wolno i dobitnie poczęł kreślić do wody winy bogaczy.

Podczas przemówienia Szafranca Mól był na pozór spokojny, widać było jak usiłuje złośliwie usmiechać się pod zółym wąsem i jak ręka drga mu nerwowo na pierśsiach. Ale Zebrowski, ten był znany ze swojej porywczoności, przed wojną zbił za jakiegoś przewinienie parobka tak straszliwie, że chłopaka musiano odstawić natychmiast do szpitala. Teraz zaczął ogromne pięści i gdyby Mól jakimkolwiek ruchem okazał swój gniew, na pewno by się rzucił. Ale krzyknął tylko: — Róbta se same, cholery! — to „cholery“ podniósł do niemożliwej wysokości — i wybiegł, a za nim Mól.

Tak, historia była już jasna. Wiadomym było, że na bogaczy nie tylko nie nalezy liczyć, ale trzeba z nimi walczyć. Zebranie dokooptowało jako nowych członków komitetu tow. Szafranca i bezpartyjnego Zuka.

Zuk potem na kursie dla analfabetów mówił: — „Widzicie, jaka jest ich polityka, tylko sobie dobrane, a biednemu gównu. Zuk pochodził od Skąpych spod Krakowa, nazywano go we wsi skalanem. Mówiąc przeciągał ostatnią zgłoskę, co nieraz dawało osobliwe efekty i trochę śmieszyło chłopów. — „No, patrzcie, jaki to podły naród. Dotąd pchali sprawę, dopóki myśleli, że sami będą obrabzać w piórka, ale jak zobaczyli, że obraca się to na korzyść najbardziej ucieszonych, to już ich nie ma. Od początku powinniśmy byli robić bez nich. Gryzie ich to, że Ziółówna poszła do fabryki, grzyzie ich nasza nauka, że czytamy gazetę, co, nie psuwały!“

Kiedy Wieczorek mówił o tym fakcie na kursie z pewną niewiarą w powodzenie dalszego dzieła elektryfikacji, z końca sali odezwał się chryplywy Miernik: — „Bez nich zbudujemy elektryczność. — Miernik był to stary chłop, który przed wojną więcej noży przesał w areszcie gminnym niż w domu na własnym łóżku. Różne to były skierowania sądowe — za nieopłacone podatki, za ubliżenie sekwestrowi, za rzekomą kradzież z lasu Zebrowskiego, można by długo wyliczać. Akta rosły i pokrywały się kurzem. Trzeba było nawet założyć osobną teczkę na nie. Były jak klamry zamykające świat przed odrobkowym chłopem Miernikiem.

Na kursie Miernik odwalił te ciężkie drzwi, które trzymały za duch. I teraz dodał: — „Myśmy powinni tu pomóc obywatelom nauczycielce, żeby w odpowiedzi na te podstępny kulackie uknieć kurs dla analfabetów o miesiąc wcześnie, niż zamierzaliśmy.“

Tadeusz Papier

**PRZEZ
OŚWIATĘ MAS
DO
TRWAŁEGO POKOJU**

UCZYCIELA

ziomu w Lesnej czy Szczębrzeszynie. Uwagi te odnoszą się oczywiście tylko do roku 1936.

W roku 1936 otrzymałam upragnione świadectwo z prawem nauczania w szkołach powszechnych.

Zdobyty papier otwierał drogę do chleba, ale go nie dawał; trzeba go było sobie wywalczyć w pęrtutysięcznej rzeszy starającej się o to samo. Tu się zaczęły wędrowki i wycieranie kłamek. Póki się było w wojsku, to pan naczelnik wydziału personalnego był grzeczny i obiecywał, ale gdy się przyszło po wojsku w cywilnych lafach, to pan naczelnik na zdanie: „Panie naczelniku, w domu na 8 morgach piachu wegetuje 9 rodzin młodszego ode mnie i do brze by dla Polski było, gdyby się to wyksztaliło, bo na czym w domu zostanie“, odpowiedział nie do proszącego ale do kilku dystyngowanych pań: „Proszę pań, a co mnie obchodzi, że ojciec tego młodziana miał tyle dzieci, czy ja mu je kazałem mieć? A o dobro Polski ma kto się martwić i troska pana, młodzieńcze, jest zbyt bezczyna.“ Podanie jednak przepisowo złożyłem i o grozo — prosiłem w nim o Kraków-powiat. Urzednik przyjmujący je, pan Wojewoda przeczytał, popatrzył na mnie i mówi: „Czy pan zwariował? Kraków-powiat, pan wie, co trzeba mieć? 25 lat pracy“. „Kiedy ja chcę się dalej uczyć?“, „Za Wilno do Sarn pan pójdzie“. „Ludzie Bogu za posadę dziękują, a ten jeszcze ma wymagania — uczyć mu się zachwiewa. Od kiedy to pies trawę je, a koń szczerka?“ „Dopiero później dowiedziałem się, że to oznacza, iż chłop ma rolę, a inteligent naukę, tak mi to wytłumaczyła koleżanka z Wieliczki, której to samo powiedziała profesorka. Dawano mi w Kielcach bezpłatną praktykę, ale już jej nie wzięłem, bo zacząłem pracować w inspektoracie szkolnym, potem jako wychowawca dzieci głuchoniemych, w końcu jako nauczyciel zastępujący chorą nauczycielkę w szkole głuchoniemych.

Rozzuchwalony tym, że zolałek był syty, ja ubrany, zgłosiłem się na Uniwersytet Jagielloński, gdzie zapytałem się tylko, czy po seminarium nauczycielskim mam prawo studiowania na Uniwersytecie. Odpowiedziano mi, że jeśli napiszę parę na poziomie magisterskim, to owszem. Odpowiedziałem, że „jeśli potrafię napisać pracę magisterską, to po co uniwersytet?“ i na tym skończyła się moja znajomość z U. J. w roku 1938. W Krakowie przed wojną uważano, że człowiek zaczyna się dopiero od magistra, dla mnie w ówczesnym systemie droga do tego szczęścia była zamknięta. Dnia 1 stycznia 1939 r. otrzymałem posadę nauczyciela kontraktowego z pensją 145 zł, ale tu koniec mej rogi do zawodu nauczycielskiego i inna już historia.

Jak rzucę okiem wstecz na opisaną drogę, która według opowiadań kolegów jeszcze nie jest „dnem nędzy“, to widzę wyraźnie nie tylko chaotyczną produkcję t. zw. inteligencji, tak właściwą ustrojowi kapitalistycznemu, ale też albo straszne niedołęstwo, albo straszne łajdactwo ówczesnych sfer rządzących. Produkowało się tysiące nauczycielek, które czekały po 8—11 lat na posadę i które marnowały najcenniejsze lata, a taki p. major, kapitan, czy nawet pułkownik był osadnikiem na kilkudziesięciu ha koło Lucka, brał emeryturę odpowiadającą randze, pracował w Banku Rolnym lub Izbie Skarbowej, a żona jako nauczycielka, gdyż chciała mieć swoje pieniądze na drobne wydatki. Dziesięć lat dzieli nas od tamtych czasów, ale jakąż straszną przepaść!

Rok 1945 zastał mnie na stanowisku kierownika szkoły w Stanisławie Dolnym k. Kalwarii Zebrzydowskiej. Zaczęłam dwie równoległe prace: nad sobą i nad szkołą. Wychodziłem z założenia, że leczyć może tylko zdrowy, a więc tak samo uczyć może tylko ten, kto sam coś wie. W roku 1945 drewniany budynek — rudę doprowadziłem do stanu używalności (4 klasy) i przez przyłączenie do naszej szkoły trzech najstarszych klas z sąsiednich trzech szkół oddalonych od nas w promieniu 4 km, zyskałem około 300 dzieci, dzięki czemu wywalczyłem powoli sześć etatów. Ilość uczniów w szkole podniosła się do 160 do 300. Założyłem kurs 7 klasowy, zdolniejszych słuchaczy udaje mi się wyciąkać do liceów, z których szybko wychodzą nauczyciele i dziś pracują z zapałem. Do dziś „na sumieniu mam 12 nauczycieli. Sam robię z żoną egzamin praktyczny, zapisałem się na Wydział Humanistyczny U. J., a w 1947 korzystałem z urlopu płatnego i robię KWN grupy polski-historia, a równocześnie dalej studiuję U. J., na którym kończę obecnie zdawać egzaminy.

Tematem, który mnie nurtował, było czytelnictwo wsi. Za najlepsze ponoć rozwiązanie na konkursie o podobnej tematyce „Czytelnik“ przyniła mi 2-gą nagrodę w sumie 25.000 zł. Dziś moja wieś na wystawie ruchomej w Kalwarii zdobyła za najlepsze czytelnictwo aparat radiowy dla szkoły wartości 61.000 złotych. Rok temu dzięki ofiarności wsi i poświęceniu pewnych jednostek udało się kupić plac pod nową szkołę, w przepięknym miejscu, skąd rozciąga się widok w promieniu 60 km. Obecnie po zadolowaniu wapna wozu się kamień pod fundamenty. Jeśli stanie kiedyś szkoła, będzie to wspaniały budynek: prawdziwy pomnik Polski Ludowej.

Po co to wszystko wymieniałem stylem kronikarskim? Nie po to, aby się chwalić własną pracą, ale

po to, aby na podstawie powyższych konkretnych faktów przeanalizować rolę nauczyciela i szkoły w terenie.

Dziesięcioletnia obserwacja nauczyciela pozwoliła mi na wysunięcie pewnych wniosków, które życie potwierdza.

Rola nauczyciela na wsi jeszcze jest różnorodna i nauczyciel ideo-wiec, a taki tylko wkrótce będzie na wsi, musi sobie z tego dobrze zdawać sprawę.

Co może dać z siebie nauczyciel wsi, i co może wiesz wymagać od niego? Przede wszystkim rzetelnie podać dziecku szkolnemu wymagania programami wiedzy. To jest fundament jego pracy. Rzetelna, uczciwa wiedza utrwalona przez częste stosowanie jej w życiu, to owoc jego pracy.

Drugą podstawową rzeczą to w oparciu o skrytalizowany światopogląd marksistowsko-leninowski ukazywanie jasno wsi drogi przez spółdzielczość do lepszego jutra. Trzecią rzeczą, którą może i winien z siebie dać, to likwidacja analfabetyzmu. Na dalszym planie może być i jest, akcja kulturalno-oświatowa, która objawia się w różnych formach, zależnie od jego zamiltona i udołnien. Do najważniejszych z nich zaliczam czytelnictwo.

Nadszedł nowy rok szkolny, ważniejszy przez to od innych, że jest to pierwszy rok realizacji Planu 6-letniego. Każdy przed rozpoczęciem jakiegokolwiek pracy stawia sobie określone wymagania, które chce zrealizować.

1. Realizacja w możliwie wykonanym stopniu programów i solidne ugruntowanie wiadomości uczniom.
2. Likwidacja całkowita analfabetyzmu.
3. Dalsze poszerzenie zakresu czytelnictwa prasy i książek.
4. Odpowiednie skierowanie i nastawianie do pracy kl. VII.
5. Budowa szkoły — przygotowanie cegły.

A wymagania dla siebie i swego grona?

1. Kończyć egzaminy uniwersyteckie.
2. Złożyć egzamin ideologiczny i przygotować swoje grono.
3. Poszerzać i pogłębiać swe wiadomości z psychologii i pedagogiki radzieckiej.

Kazimierz Bartyzel

Na szlaku ZMP-owskich brygad

Rośnie M. D. M.

W ŚRÓD gruzów błyszczą czerwona świeża wylakierowana tablica: „M. D. M. — Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa. — Tu pierwsza zetempeńska Brygada prowadzi wiertnicze roboty przy PPB „Hydrotrest”, Oddział V w Warszawie”.

Na podwórzu rozbitego domu stoi ustawiona wieża wiertnicza. Czterech członków brygady: Ostrowski, Łojcis, Styś i Huzarski za pomocą kłosa borowego wkręcają świder w ziemię. Kolega Adamczyk, młody majster brygady o szerokim czole i bystrym spojrzeniu śledzi zagłębienie się świdra i odmierza całówką.

— No i co? Jesteśmy na szóstym metrze. Sprawdzimy! Co, woda? — Na szóstym metrze woda! — oznajmia Adamczyk koleżce Rutkowskiej, młodemu technikowi, który siedzi na kamieniu w rozbitej bramie.

— Robmy stojkę! — energicznie mówi Rutkowski. — Poczekamy! Trzeba przekonać się, do jakiego poziomu sięgnie lustro wody.

— No to co? Nie ma co tu sterceć! — mruczy Adamczyk, widocznie niezadowolony z przerwy w robocie. — Dalej chołpaki! Zabieraj statki i słoje! Idziemy do swojej budy pod czternastym.

Pod czternastym na podwórzu zarosłym trawą i jakimś kwiatkami stoi sklecona z desek budka z narzędziami wiertniczymi i bateriami słoju i flaszek z próbkami gleb i wód napotkanych przy wierceniach.

W tej chwili na podwórzu wchodzi Kuczyński, inspektor ZOR-u, dwudziestoletni szcuple brunet w szarym ubraniu. Rozgląda się badawczo.

— Koledzy z brygady „Hydrotrestu”?

— Tak!
— Kuczyński jestem! Pełnię funkcje inspektora z ramienia ZOR-u. Jestem studentem z drugiego roku Politechniki, teraz już z trzeciego... — poprawia się szybko. — Chciałem was poznać i zobaczyć, co robicie. Który z was jest majstrem?

— Ja, Adamczyk... Nawet podpisuję robotę za majstra. Ja już prawie trzeci rok w „Hydrotrestie”. Koledzy robią przy mnie,

ale już niedługo będą samodzielnie prowadzić brygady. Łojcis i Styś pochodzą ze wsi, mieszkają w hotelu robotniczym naszej firmy na Powązkach i chodzą teraz na kursy pierwszego stopnia...

— A wy się nie uczycie?

— Ja? — Adamczyk zmieszany się. — E!... kurs pierwszego stopnia to dla mnie zabawka, ja to już wszystko znam z praktyki.

— A drugiego stopnia?

— E, drugiego... — młody majster zaczerwień się.

Bo to widzicie, ja nie mam jeszcze szkoły podstawowej... Warunki takie były...

— Zrozumiałe! W czasie wojny wielu kolegów nie mogło się uczyć... — pomaga mu student.

Błyski nieufności w oczach Adamczyka łagodnieją. — A bo widzicie... na tym kursie są i chłopaki po gimnazjum, to się z nas czasem śmieją, bo onj lepiej umieją. Wiadomo, więcej klas, ale człowiek ambicję swoją ma! No, nie? Tom postanowił sobie, że my swój kurs zetempeński zrobimy. Organizujemy jeszcze dwie brygady a będziemy mieli wkrótce pięć, to zrobimy swoją zetempeńską szkołę.

— Pewno! Macie rację! — mówi Kuczyński. — Jakie próbki gleb macie w tych słojach?

— Na tych kartach wszystko macie napisane.

Adamczyk opowiada studentowi o swej pracy z namyślnym przejęciem, ze znajomością rzeczy i głębokim zainteresowaniem, jak o czymś, co jest najciekawsze i najważniejsze na świecie.

— Będą chcieli w PIG-u zbadać zawartość tej gliny — mówi dalej, to ją rozprują i mając niewzruszoną głębię z takiej i takiej głębokości, mogą określić jej zawartość i wytrzymałość na ucisk. W ten sposób łatwo można obliczyć jakie potrzebne są tu fundamenty.

A czy wiecie jakie mają tu stannać domy? Czy interesujecie się tym? — pytał Kuczyński.

— Wiadomo! Wszystkich to obchodzi. Tu na MDM będą domy od sześciu do ośmiu pięter wysokości, a w bocznych ulicach od pięciu do sześciu. Mówią, że to będą piękne domy...

— Tak piękne. Mogę wam powiedzieć coś o tym. Zniknie tu cakowicie przypadkowe budownictwo, tak charakterystyczne dla miast kapitalistycznych, a powstanie tu w Planie Sześciolenim wspólna wielkomińska dzielnica, godnie reprezentująca śródmieście Socjalistycznej Stolicy w Socjalistycznym Kraju.

Zaplanowana będzie z rozmachem godnym polskiej klasy robotniczej i artystycznie bogato wykończona.

Mieszkania będą zaczynały się dopiero od drugiego piętra, parter i pierwsze piętro stanowiące cokoły gmachów — wykładane kolumnami kamieniem, barwnym granitem, nie rzadko ozdobiane podcieniami, kolumnami, antresolami, będą miały sklepy, kawiarnie i różnorodne lokale usługowe. Dwa najwyższe piętra będą znów sta-

nowią zwieńczenie domów, ozdobione atykami i kolumnkami, obramowaniami i wykończeniami. Motywami dekoracyjnymi domów będą rzeźby, płaskorzeźby, barwne majoliki o błyszczącej powłokę, elementy kute w żelazie, jak kraty, okucia. Warszawa będzie piękną.

— Wiadomo... — mówi Adamczyk. — Wszyscy się o to staramy...

— A wyobraźcie sobie tu, kolego, dużo zjeleni, drzew, kwiatników — podejmuję znów student. — A od tyłu, gdzie dawniej znajdowały się ciasne podwórza, będą wielkie zielone przestrzenie, pełne powietrza i słońca, dające radość i zdrowie dzieciom i mieszkańcom dzielnicy. Takie będzie śródmieście — serce naszej Socjalistycznej Stolicy — Warszawy.

Aniela Daszewska.



Robotnicy MDM zaciągnęli warty pracy w obronie pokoju

..., a na Muranowie...

— Dobrze. Zaraz ją zatknijemy. Może zjrzyjcie do nas. U nas świętowski i Staszewski dzisiaj przodują. Patrzenie sami, tu ich ścianka. Już mają dwieście procent. Jedenaście metrów sześciennych jak nie! A przecież „prześciej” był z czterdziestu metrów, bo brakowało materiału. Trzech z transportu nie może nadążyć z wożeniem wapna.

W tej chwili przenikliwy głos syreny oznajmił godzinę dwunastą. Chłopcy składali statki. Przyczyszalali się, myli. Szli do stołówki na obiad.

— Nie idziesz, Czesiek, z nami?

— Nie! Dziś mam suchy powiat. Ze Szczepanem Partyką umówiłem się kolo świetlicy.

Wiechetek szedł z pochyloną głową. Nie wiedział, co mu się ostatnio. On, przodownik młodzieży Muranowa, delegat organizacji na Festiwal w Budapeszcie „dostał po krzyżu” — jak to się mowi — na budowie. Zabawił się trochę w niedzielę za dużo i już dostał! — No, tak — myśli Czesiek, — Zaempowic i przodownik musi zawsze dawać przykład...

— Coś taki za-myślony? — To ty, Szczepan? No, jak ci się wie? Referentem jesteś?

— Ano, referentem modernizacji. Z Muranowa na referenta... — mówi spokojnie Szczepan Partyka, jeden z czołowych przodowników młodzieżowych Muranowa i Warszawy. — Racjonalizatorstwo i współzawodnictwo w opiece mam... No, a jak wy tam na budowie? Czy posługujecie się racjonalizatorskim sprzętem i usprawnieniami robotników? Czy używacie stojaków Olaka i warstwowości Paduchy? No, pamiętajcie! Niech tylko zobaczą nastawienie do nowatorstwa i roboty, zaraz zrobię raban na sto dwa! Przecież to oszczędność pieniędzy i czasu, to wydatność!

— Wiesz, w czym ja bym się chciał specjalizować? — przerwał mu nagle Wiechetek, przysiadając na deskach i wyciągając z zawinię-

ka chleb z kielbasą. — Ty jesteś referentem, Makosa poszedł na „UKP” a ja to chciałbym się specjalizować w białej robocie... Zapachniały mi coś tynki. Ostatnio próbowałem na naszym bloku tynkarskich maszyn radzieckich. Mówię ci, widać robotę! Zostaje za tobą biała ściana... Ciekawym, jak tu będzie na Muranowie z licówkami bez tynków... Dlaczego nie jesz, Szczepan, bierz chleb...

— Pomysł racjonalizatorski naszego majstra Bogdana, tego z czwartego potoku został podobno przyjęty przez architektów jednogłośnie... — zaczął Partyka, biorąc kromkę chleba. — Bogdan wynalazł sposób wykańczania elewacji domów na Muranowie, który usuw — jak mówił inżynier — wszelkie usterki szybkościowej roboty, zachowuje i podnosi kompozycje budynku i pozwoła na zastosowanie kolorów na ścianach zewnętrznych. Budynki będą mogły być barwione z zachowaniem charakteru ścian, budowanych z nieotynkowanych cegieł prefabrykatów.

— Widziałeś chyba te „punktowe” na Muranowie, te domki stojące osobno. Już są skończone. Teraz dopiero wychodzą obramienia okienne i ozdobne, wglębione portale... — Dach z latarnią klatki schodowej też wypadł pierwsza klasa! Ludzie mówią, że domki jak z bajki... Wesoło! Nie ma co! Bo osiedle robotnicze musi być wesołe.

— Wiesz, że ja też, jak chodzę po budowie, to myślę, że wszystko się tu piorunem zmienia...

— Tak, zmienia się i teraz dopiero widać, że nierówność terenu i skarp usypanych z gruzu — jak mówił inżynier — nada specjalny charakter całości osiedla. — I jeszcze jak będą trawniki, kwiaty, drzewa, schody, schodki, tarasy, rzeźby, fontanny, kolumny, to, bracie, warto tu będzie żyć! I warto teraz robić, bracie! Szczęśliwie dzieciaki, które tu będą mieszkały.

— Nie tak jak my — przerwał młody murarz — mieliśmy, bracie, suterenej za mieszkanie, a do zabawy

śmietnik i podwórze w czyszczowej kamienicy kapitalisty...

— Tu robotnicy będą mieli i ogrody, i przedszkola, i szkoły, i żłobki, i teatry, i domy kultury. Wszystko! I jakie jeszcze! Widziałeś tę szkołę, co robia teraz na osi młodzieżowej? Wcale nie będzie miała korytarza, tylko wielki hall. A naprzeciw szkoły, na drugim końcu placu, będzie teatr „Guliwera”. Dzieciaki będą tu miały raj!

— I boisk sportowych też ma być dostatek...

— Tak. Nie tylko będą przy szkołach, domach kultury, ale w różnych częściach osiedla. Każde najmniejsze boisko, obsługujące dwa albo trzy bloki mieszkalne będzie miało swoją trybunę i jakąś rzeźbę zwierzającą, tak, że dzieciaki będą się mogli umawiać na mecz na boisko „pod jaszczurką”, „wiewiórką”, czy „sarną”, zależnie od stojącej tam rzeźby.

— A pamiętasz, jak wyglądał Muranów w zeszłym roku o tej porze? — wtrącił nagle Wiechetek. — Morze gruzów! Dopiero zaczynaliśmy budować — a dziś?...

— A dziś — przerwał mu Partyka. — Dziś widzi się już, że ładny będzie ten Muranów! Piękne będzie to nasze największe robotnicze osiedle stolicy. Osiedle na pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, budowane z czerwonych gruzów, jak z krwi Warszawy. Coraz wyraźniej widać, że stary nie pokpił sprawę!

— Cóż znowu za stary? — Tak go tylko nazywamy. To profesor Lachert, wybitny architekt — twórca Muranowa. Jakby nie było, zwycięstwo nad gruzami Muranowa to jego dzieło i jego pracowni, całego zespołu, bo wiesz, że dzisiaj wszystko robimy kolektywnie. Oni planują kolektywnie, a my wykonujemy. Zawsze co więcej głów — to nie jedna! Więcej rąk — to nie dwie!

— Powiadam ci, nasze robotnicze osiedle Muranów będzie na sto dwa! Aniela Daszewska



ZMP-owiec Stanisław Purchała

Decyzja generała Groves'a brzmi: odmówić! Odpowiedź Ireny Joliot Curie:

— Sztuczne izotopy radioaktywne to nasz wynalazek. Fryderyk Joliot i ja otrzymaliśmy zań w 1935 roku nagrodę Nobla. Zabraliśmy nam nasz wynalazek i nie chcemy go oddać z powrotem. Jak to się nazywa? Kradzież? Gorzej. To jest obraz życia amerykańskiego.

Fryderyk Joliot patrzy na żonę ze spokojem. — Nie chcę nam dać radioaktywnych izotopów. Bardzo dobrze. Stworzymy je sami! Damy Francji radioaktywne izotopy, damy jej energię atomową...

Naczelny komisariat do spraw badań atomowych wzmaga tempo pracy. Naczelnym komisarem jest Fryderyk Joliot-Curie. Na terenie forte Chatillon (zewnętrzny obszar Paryża) powstaje centrum eksperymentalnej energii atomowej. Prace budowlane postępują w dzień i w nocy. Setki inżynierów i fizyków, studentów przed dyplomem ofiarują swoje usługi bezinteresownie.

Rok 1946. W rezydencji Narodów Zjednoczonych pod New Yorkiem obraduje komisja kontroli do spraw energii atomowej. W sesji tej biorą udział specjaliści nauki pięciu krajów. Z kąta pokoju napychły, pomarszczone jak stary grzyb Bernard Baruch śliniąc nieodpatek cygara z podebła śledzi tok obrad. Wybrawszy odpowiedni moment podchodzi do Joliot.

— Niech pan posłucha, mój kochany! Słyszałem, że zamierzacie we Francji budować kocioł atomowy. Czy to prawda?

— Oczywiście, prawda. Jedno tylko należy sprowadzić. Kocioł był obliczony i zaprojektowany przeze mnie latem 1939 roku. Budowa została wstrzymana przez wojnę...

— Rzućcie te czeze wymysły! — Baruch rozwała się na fotelu. Wazsa Francja już kona. Wasz przymysł jest załedwie zdolny produkować gliniane garnki. Lepiej niech pan się zaimie czymś konkretnym. Chodzi mi o Pana csobieście, panie

Joliot! Niech pan przyjeżdża do nas, do Stanów. Gwarantuję panu milion dolarów na wszelkie doświadczenia. Milion, nie licząc honorarium i różnych innych rzeczy. Co pan na to, no?

Fryderyk Joliot odpowiada z niezamącnym spokojem, nawet wesoło.

Jestem niezmiernie zobowiązany, monsieur Baruch! Ale interes nie dojdzie do skutku. Zbyt późno na stare lata zmieniać domowe ognisko. Co się zaś tyczy francuskiego kotła atomowego to będzie on gotów... Mamy teraz 1946 rok? Kocioł będzie gotowy w końcu 1948 roku!...

15 grudnia 1948 roku o godzinie 12 minut 12 port Chatillon zameldował o rozpoczęciu reakcji łańcuchowej.

„Fokój! Walczcie o pokój! Nie pozwólcie się omotać oszustwem rzekomej neutralności i różowego pacyfizmu. Zwracam się przede wszystkim do Was, ludzie nauki, moi współbracia w zawodzie. Czy rozumiecie, że każdy eksperyment, każda teoria, każde doświadczenie laboratoryjne w obecnych warunkach każe wazy się nie tylko na szalach nauki ale przede wszystkim na szalach życia i śmierci milionów ludzi. Trwały pokój albo barbarzyńska wojna — nie ma trzeciego wyjścia!...”

W sali Pietyla grzmiały owacje. Wszyscy, którzy nie dostali się do Paryża zebrałi się w Pradze. Krag przyjaciół i towarzyszy walki, Joliot rośnie coraz bardziej. Dzisiaj jest ich osiemset milionów. Delegaci Obrońców Pokoju z trzech kontynentów zebrałi na Pierwszy Kongres wybierając na przewodniczącego Fryderyka Joliot. Obok niego zasiadają najwybitniejsi przedstawiciele nauki i kultury: Bernal, Fadijew, Adamar, Neruda, Erenburg, Picasso...

Paryż, Rzym, Indie, Sztokholm Kwiecien 1949 — marzec 1950. Te

ABY NAUKA SŁUŻYŁA POKOJOWI I WOLNOŚCI

(dokończenie ze str. 1)

Jedenaście miesięcy można porównać tylko do czterech lat Opcru. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi ramię przy ramieniu słucha przemówienia przewodniczącego Obrońców Pokoju pod palącymi promieniami słońca w Bombaju. Mówi o wspaniałych możliwościach nauki, nauki ściśniętej dziś w kleszczach przez następców tych, którzy wtrącili do więzienia Paula Langewina, tych, którzy znęcali się nad Piotrem i Marią Curie. „Maszyna, która powinna wyzwolić robotników od ciężkiej pracy, przekształcała się w źródło bezrobocia...” „Większa część ludzkości ciągle jeszcze głoduje, albo żyje w strachu przed głodem...” „Środkami wypracowanymi przez podżegaczy wojennych na budowę jednego tylko krazowniku można by wyposażyć dziesięć instytutów do walki z gruźlicą i rakami i utrzymać personel tych instytutów w ciągu całego wieku!” „Gdzież jest wyjście z tego ślepego zaułka?...” Wyjście wskazuje Narodowy Związek Radziecki, Chiny, krajów demokracji ludowej. To wyjście — to walka o przekształcenie przyrody, walka ludzi wolnych od wyzysku człowieka przez człowieka... „Wy-starczyłby jeden wagon rudy uranu na rek, aby podwoić produkcję energii elektrycznej we Francji!”

Zakołysało się jak od wichru sześćdziesiąt tysięcy śniadych rąk i głów. — Pokój, pokój!

Inne, skąpo udzielające swoich promieni, północne słońce. Senne miasto drzemiące na brzegu zimnego jeziora.

„Tutaj w tym samym mieście przemawiałem z okazji przyznania mi nagrody Nobla... Tutaj, w Sztokholmie, mówiłem o jednym z odkryć kryjących w sobie zarodek wielkich technicznych przełomów. Idąc po drodze, którą mi wskazał mój nauczyciel wielcy uczeni Francji uprzedzałem wówczas o poważnym niebezpieczeństwie utajonym w tych doświadczeniach... Było to w 1935 roku. Od tej pory minęło 15 lat. Czy mogłem wiedzieć, że znów przyjdzie mi przemawiać tutaj w czasie, gdy za ledwie przeczuwana wówczas groźba przybrała dziś realne kształty!...”

„Tak, groźną nam potwórnią rzeczą w imię interesów grupki ludzi, którzy uczepili się zagrabionych przez nich worków ze złotem...” „Groźną nam bombą wodorową...” „Bomba wodorowa jest teoretycznie możliwa, ale jeszcze nie wyprodukowana i nie wiadomo, kiedy będzie wyprodukowana. Jeżeli ta bomba będzie stworzona w Stanach Zjednoczonych, to i w innych krajach mogą ją wyprodukować. W tym wypadku nie może istnieć takie techniczne pierwszeństwo, jakie istniało w odniesieniu do bomby atomowej...”

„Ale wyzwanie zostało ludzkości

zrzucone i na to wyzwanie powinna paść bezzwłoczna odpowiedź.”

Cisza zapada na sali zapelnionej gośćmi i delegatami trzeciej sesji Stałego Komitetu Obrońców Pokoju.

„Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, jak powinna brzmieć ta odpowiedź. I niech zapamiętają datę tej odpowiedzi — marzec 1950 roku.”

„Będziemy uważali za zbrodniarza wojennego każdy rząd, który pierwszy użyje broni atomowej przeciwko jakimkolwiek krajom.”

Jak przyjemnie w dusznego podziemia wyjść na świeże wiosenne powietrze. Schody metro wnoszą na wierzch potoki ludzi. Małe czyste zamknięte uliczki jednego z przedmieść wchodzącego w „czerny pierścień” Paryża. Jasny budynek merostwa. Gości wita mer, schludnie ubrany, jeszcze nie stary robotnik paryski. Ścisła rękę każdemu wchodzącemu. A dzisiaj jest ich więcej niż tysiąc. Paryż proletariacki, Paryż nauki i kultury przysłał tu swoich przedstawicieli z okazji dnia urodzin jednego z najszlachetniejszych swoich synów.

„Nasz Fryderyk skończył pięćdziesiątkę”. „No, no, pięćdziesiąt”. Ale nikt nie myśli o starości w ten ciepły wiosenny wieczór. „Stukają o siebie kielichy napelnione ciepłym, chłodnym winem. „Pięć za twoją młodość, Fryderyku Joliot. Za młodość Francji, za młodość ludzkości.” Profesor filozofii siada. Po nim wstaje kamieniarz. „My wiemy, Fryderyku, że jesteś biernym na oku amerykańskich podżegaczy atomowych. Kłapiąc wściekłością panowie za oceanem chcą się zemścić na naszym kraju. Chcą cię zmusić, abys ustąpił ze stanowiska naczelnego komisarza. No cóż, to jeszcze leży w ich możliwościach. Ale łatwiej odsunąć amerykańskich podżegaczy wojennych od nauki francuskiej aniżeli nasze go Fryderyka od nerodu.”

Wiele przemówień, już późno.

„Czas udzielić głosu Fryderykowi. — „Prosimy, Fryderyku!” Irena zachęcająco spogląda na męża. „No cóż, Fryderyku!...”

„Bardzo chętnie.”

Promień światła oświeca szczupłą, porytą cienkimi zmarszczkami a pomimo wszystko młodą twarz. — Przyznam się wam, przyjaciele, przeżywałem pokusę aby zamknąć się w swoim laboratorium, ale wówczas zadalem sobie pytanie: „a kto będzie korzystał z wynalazków, których ja dokonam?” I zrozumiałem, że po to, abym mógł spokojnie siedzieć w swoim laboratorium, powinienem walczyć — walczyć w szeregach tych, którzy pragną, aby nauka służyła pokojowi i wolności a nie interesom handlarzy śmierci, nie wojnie grabieżczej... I dopiero wówczas, gdy zapanuje trwały pokój, my, uczeni, będziemy mogli uzyskać spokój ducha, siedzieć po całych dniach w swoich laboratoriach. I jakie szczęśliwe wieści przyniesiemy wówczas ludzkości!...”

Ciepły wiosenny wieczór zagląda do okien merostwa...

28 kwietnia amerykańscy gauliterzy w Paryżu usunęli ze stanowiska naczelnego komisarza do spraw energii atomowej dumę francuskiej nauki, bojownika o pokój i demokrację, Fryderyka Joliot-Curie.

Dwa tygodnie wcześniej sprzedane pióra z pism New Yorkskich zdążyły już oznajmić o szukającym się „zdjęciu” ze stanowiska Joliot-Curie.

Podła i brudna gra! Kamieniarz z robotniczego przedmieścia paryskiego miał słusność... Nie można odsunąć sławnego syna narodu od narodu, który go wychował i wykarmił. Ale można odsunąć pigmejów, którzy podnieśli rękę na sumienie i cześć narodu.

Historia wala jeszcze w tej sprawie swój wysiłek.

Włodzimierz Lwow

ZOFIA SIKORSKA

DEBIUTY LITERACKIE W ZWIĄZKU RADZIECKIM

„Cenną właściwością naszej literatury, rękomią jej dalszego rozkwitu jest stały przepływ nowych sił pisarskich. Co roku na łamach centralnych i prowincjonalnych czasopism pojawia się szereg utworów młodej literackiej, przynoszących nowe tematy i obrazy.

Literatura radziecka, silna dzięki przestrzeganiu znakomitych tradycji Gorkiego, z powagą ustosunkowuje się do problemu nowych kadr pisarskich. Pierwsza książka! Ile w tych słowach jest dumy i nadziei młodego pisarza.

Odpowiedzialna jest rola redaktora, który podpisuje do druku książkę debiutanta, i wydawnictwa, które ją wydaje. Troskliwie chronią indywidualności autora, redaktor winien pomóc mu poprawić braki, podkreślić to, co cenne w jego książce.

Przyjacielska pomoc, krytyka twórcza i nie obniżająca wartości pracy pisarza — to rękomią szybkiego dojrzewania młodych autorów.

Powyższa nota redakcyjna otwiera kolumnę znanego pisarza radzieckiego „Gazety Literackiej”, poświęconego kilku ostatnim debiutom młodych pisarzy. Słowa te charakteryzują stosunek literatów Związku Radzieckiego do młodych pisarzy. Nie gośiownie wspomniano tu o tradycjach Gorkiego. Genialny samouk, który wypracował swój warsztat pisarski i osiągnął pozycję literacką w ciągu lat nędzy, poniewierki, prześladowań policyjnych i mozolnego przewidywania niezliczonych zapór, jakim system kapitalistyczny obwarował zmonopolizowane przez siebie dobra kulturalne, stał się najlepszym przewodnikiem nowych kadr pisarzy młodego państwa radzieckiego.

Gorki w burzliwych latach potężnych przemian, gigantycznego zrywu mas ludowych, dźwigających Państwo Rad i tworzących jego proletariacką kulturę, był hasłem i wzorem wielkiego awansu kulturalnego, jaki zaczynał się dokonywać na ogromnych obszarach Związku — ale jest nim także i dziś dla milionów młodych ludzi, wychowanych w normalnej szkole, dla systematycznie i planowo szkolonych kadr literackich.

„Poemat pedagogiczny” Makarenki ukazuje, w jaki sposób, w pierwszych powojennych latach, książki i duchowy patronat Gorkiego na kolonii dla nieletnich przestępców pomagały dzieciom, ofiarom zdruzgotanego systemu, ofiarom lat wojny i interwencji budować swoje, nowe, socjalistyczne obywatelstwo. Ale patronat Gorkiego przyswiera i dziś milionom najsłabszej młodzieży świata, której wzrost i rozwój otoczone są najtroskliwszą opieką, której rekrutacja do zaszczytnych szeregów radzieckich pisarzy napotyka na wszelkie ułatwienia i braterską opiekę ze strony starszych kolegów.

I na tym właśnie polega „tradycja Gorkiego”, który był najlepszym przyjacielem młodych pisarzy, ich troskliwym, choć surowym i wymagającym nauczycielem. Gorki strzegł debiutantów przed załamaniem się, przed utratą wiary w siebie — ale nade wszystkim przed łatwą, przed tanią deklaratywnością, przed brakiem dyscypliny umysłowej i artystycznej, przed niedbalstwem formalnym. Wskazywał konieczność przyswojenia sobie wielkich tradycji postępowej literatury świata i budowania wiedzy o nowej rzeczywistości socjalistycznej. Pomagał, radził, tłumaczył — ale i bezlitośnie odsłaniał błędy, uczył znoszenia słusznej krytyki i wyciągania z niej twórczych wniosków, wykorzystania pożyteczności wobec własnych błędów.

Tę tradycję podjęła radziecka krytyka literacka, która w pełni zdaje sobie sprawę z poważnej odpowiedzialności za oceny książek debiutantów i za słuszność oraz dydaktyczne walory krytyki.

Dlatego warto przyjrzeć się zamieszczonym przez „Gazetę Literacką” kolumnie recenzji z najnowszych debiutów literackich.

Omówionych pięć książek młodych pisarzy to cztery powieści i tomik wierszy. Wśród powieści, dwie nawiązują do problemów i wydarzeń Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, dwie zaś dotyczą współczesnych problemów budownictwa socjalistycznego w Związku Radzieckim. Wszystkie omówienia pióra doświadczonych krytyków i starszych pisarzy, z całą troskliwością i szacunkiem wobec pracy młodego pisarza, biorą na warsztat jego książkę, starają się wnikać w jego intencje, odtworzyć świat jego doświadczeń, jego wiedzy o rzeczywistości, bez uprzedzenia i złośliwości poszukują źródeł błędów debiutantów — bynajmniej jednak nie obwiązują w bawelne ostre niekiedy zarzutów i formułują żądanie poprawienia niedociągnięć w dalszej praktyce literackiej autorów.

Najpoważniejszym debiutem wśród omówionych pięciu pozycji literackich jest niewątpliwie powieść Iji Kotienko pt. „Kołchoźnicy”. Książka ta podejmuje kapitalny problem nowych planów i możliwości dalszego potężnego przeobrażenia wsi radzieckiej, dalszej mechanizacji i racjonalizacji pracy rolniczej, wreszcie zniesienia ostatnich barier między miastem a wsią poprzez plany stowarzyszenia tzw. „agro-miast”. Wiersz radziecka od dawna już wciągnięta została w orbitę twórczego życia zafacanej wsi społeczeństwa kapitalistycznego charakteru, zabitego deskami zakałką. Nowy plan, który na miejscu dawnych chutorów wzniesie osiedle miejskiego typu w sposób istoty kształtuje świadomość kolchoźników, niszczy przeżytki dawnego typu „chło-

pa”, zasila wieś kadrami nowej inteligencji radzieckiej, która tworzy tu ośrodki pracy i badań naukowych, zarówno twórczo oddziałując na otoczenie, jak i kształtując się i korzystając wiele w bezustannym kontakcie z przedstawicielami młodego pokolenia armeńskich prozaików, wchodzących dziś do literatury” — stwierdza D. Demirczan, recenzent pierwszej książki Siero Chanzadiana. Tym większą wagę ma krytyczna ocena w „Gazecie Lite-



Z filmu radzieckiego p.t. „Upadek Berlina”

cie z życiem narodu i jego podstawowymi problemami.

Powieść o kolchozie „Nowa Zorza” przynosi, jak podkreśla z naciskiem autor recenzji, I. Riabow, zróżnicowane i plastyczne postacie rutyniarzy, tradycjonalistów i walczących z nimi „ludźmi o bolszewickim rozmachu”, dawnych „chłopów” i nowych pracowników kolchozu oraz inteligentów.

Jednak recenzja starannie tropi wszystkie przejawy schematyzmu. Wskazuje młodemu pisarzowi drogi wyzbycia się zależności od konwencjonalnych wzorów literackich i niebezpieczeństwo chwytania gotowych typów (w tym wypadku z książki Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy”) zamiast pójścia drogą pogłębionej obserwacji rzeczywistości radzieckiej. Ostroga też młodego pisarza przed schematyzmem, niedialektycznym traktowaniem „czarnych charakterów” w powieści. Recenzent podkreśla, że w dalszych częściach swego dzieła autor winien wskazać im drogę zrozumienia i naprawienia swych błędów, gdyż nie przechodzą oni świadomie na stronę wroga, a tylko nie nadają za rozwinięciem radzieckiego życia, nie dość czujnie walczą ze starymi nawykami myślowymi i oporami ideologicznymi, co spycha ich na pozycje rutyniarzy a nawet szkodników. Rzeczywistość radziecka, współpraca z „ludźmi bolszewickiego rozmachu” potrafią uratować błądzących i skierować ich na drogę rehabilitacji.

„Bardzo dobrze, że ukazał się utwór młodego pisarza, posiadający wiele zalet: dobrą znajomość życia, wyczuwanie nowego, umiejętność widzenia i rozumienia przodujących ludzi współczesnych — ludzi bolszewickiego rozmachu”. Powieść Iji Kotienko pt. „Kołchoźnicy” ucieszy wielu czytelników. Będziemy oczekiwać dalszego ciągu opowiadania o działaczach partii na terenie wiejskim, o nowych rolnikach, o nowej wsi i jej radosnych perspektywach — konkluduje I. Riabow.

Interesujący problem stawia recenzja Wadima Łukaszewicza pt. „Rywalizacja naocznego świadka z artystą”, poświęcona powieści I. Frolowa pt. „Szlak — Opowiadania geologa”.

Autor podjął tu ciekawy temat pracy geologów radzieckich, którzy podejmują wędrówkę po Kazachstanie w poszukiwaniu nieodkrytych dotąd bogactw mineralnych. Zbiór nowel ukazuje różne fragmenty tej wyprawy, rysuje kolektyw i jego współzycie, mówi o wytrwałości i poświęceniu uczonych, wydzierających tajemnice przyrody, by służyć człowiekowi i jego lepszej przyszłości. Głęboka znajomość opisywanych zagadnień i stosunków, urok pięknych i świeżych opisów Kazachstanu, poezja legend i baśni Kazachów, które nieraz służą za przewodników badaniom uczonych (jak w opowiadaniu „Srebrna skała”, gdzie legenda prowadzi geologów do złóż rudy oliwianej), wreszcie niewątpliwy talent narratorski pisarza, umiejętność tworzenia plastycznych postaci ludzkich i doskonała indywidualizacja języka — wszystko to każe optymistycznie ocenić talent i możliwości artystyczne Frolowa. „Wiele obiecuje ta pierwsza książka, ale jednocześnie nakłada tym większe zobowiązania na autora: oczekuje go uporczywa, ciężka praca, aby, mówiąc językiem geologów, „otrzymać czysty szlicht”, odrzucić wszystko, co niepotrzebne, przydatkowe, a dojść do wielkich uogólnień” — pisze recenzent, Wadim Łukaszewicz.

Książka zdradza bowiem pewną niedojrzałość pisarza właśnie w zakresie umiejętności uogólnienia, typizacji materiału obserwacyjnego, następnie w zakresie jego selekcji i usunięcia balastu drobnych, chaotycznych obserwacji. Na tym właśnie polega, zdaniem krytyka, charakterystyczna dla wielu młodych pisarzy „rywalizacja naocznego świadka z artystą”. Niedoświadczony debiutant nie zawsze umie zdobyć się na rezygnację z wielu wabiących go swym bogactwem i świeżością, ale nietypowych i nieistotnych obserwacji bujnego życia. Stąd u Frolowa dłużyzna, wady konstrukcyjne, stał się ośmieszającym egotykiem Kazachstanu, które powoduje nadmiar opisów, aż do opierania wielu opowiadań temu na artystowskim problemie rodzajowego obrazu.

Niewątpliwy talent debiutanta więc jeszcze surowej dyscypliny artystycznej. Krytyka radziecka stara się mu to wyraźnie uświadomić.

„Ludzie naszego pułku” — jest to pierwszy udany utwór jednego z

rackiej” tak dla autora, jak i dla jego młodych kolegów.

Książka debiutanta, oparta na przeżyciach z dni epopei leningradzkiej, mimo że podejmuje temat tylokrótnie już opracowywany w literaturze radzieckiej i to przez czelowych pisarzy, nie traci wiele mimo szeregu narzucających się czytelnikowi zestawień. Zainteresowania Chanzadiana skupiają się nie tyle na opisie wojennych wydarzeń, ile na zamiarze przedstawienia braterskiego współzycia w ramach walczącej jednostki wojskowej przedstawicieli różnych narodów Związku Radzieckiego. Zjednoczeni gorącym pragnieniem obrony wspólnej ojczyzny, wychowani w idei socjalistycznego internacjonalizmu i głębokiego przywiązania do radzieckiego państwa, będącego ich wspólnym tworem i najwyższym dobrem, walczą Rosjanie, Armeńczycy, Ukraińcy i Gruzini, Azerbejdżanie i Tadżykowie. Autor ukazuje braterstwo narodów radzieckich jako rezultat socjalistycznego systemu wychowawczego. Książka obrazuje nie tylko pełne napięcia i bohaterstwa chwile ataków czy zaciętej obrony ludzi pułku, ale także ich codzienne życie — chwile ciszy, marszu, przygotowywania pozycji. Te chwile ukazują

LEONARD WALLICHT

Z ŻYCIA ROBOTNIKÓW AMERYKAŃSKICH

Albert Halper to współczesny postępowy pisarz amerykański.

Akcja jego niedawno wydanej przez „Czytelnika” powieści „Dom pod Starym Łucznikiem” odbywa się w Chicago na kilkanaście lat przed wybuchem wojny. „Stary Łucznik” jest to ośmiopiętrowy gmach, w którym mieści się wielka drukarnia a na ostatnim piętrze odlewnia i zakład galwanoplastyki. Zakład ten jest wprawdzie związany z drukarnią, stanowiącą jednego odbiorcę produkowanych przez nią płyt — należy jednak do innych właścicieli. Prócz tego odlewnia zatrudnia robotników zrzeszonych w Związku Zawodowym, natomiast robotnicy Drukarni do Związku Zawodowego nie należą.



Robotnicy zakładów lotniczych w Nowym Jorku protestują przeciwko zaopatrywaniu w broń Hiszpanii frankistowskiej

Warto się zastanowić nad ukazaniem w powieści stosunkami, jakie panują między robotnikami należącymi do Związku Zawodowego a robotnikami niezrzeszonymi.

Warunki pracy pierwszych różnią się od warunków, w jakich zmieszni są pracować drukarze. Związkowcy pracują 8 godzin tygodniowo krócej i otrzymują uregulowane przez umowę wynagrodzenie za pracę. Tych zdobywców nie posiadają oczywiście drukarze. Robotnicy z drukarni jednak nie bardzo odczuwają swoje upośledzenie. Wydaje się im, że właściciel drukarni pan Bowman, troszczy się o rozrywkę i tworzy wraz z nimi jedną wielką, kochającą się rodzinę fabryczną. Że robotnicy z powieści Halpera tak sądzą, jest to załuga pana Bowmana i jego zręcznych pomocników. Pan Bowman urządza dla swych robotników efektowne kiermasze, które zaszczyca swą obecnością i na których długo i serdecznie przemawia. Na kiermaszach urządzane są konkursy tańca z nagrodami, przy czym pan Bowman tańczy z robotnicą. Gwóźdź takich

*) Albert Halper, „Dom pod Starym Łucznikiem”, „Czytelnik” 1950.

żołnierzy pułku nie tylko jako bohaterów i nieugiętych bojowników, ale też jako kolegów i przyjaciół, ludzi, łączących z wolą zwycięstwa myśli o rodzinie, nie rezygnujących z planów życiowych, które pragną urzeczywistnić po zwycięstwie, dyskutujących problemy życia radzieckiego.

„Siero Chanzadian, syn chłopca z dalekiego, górskiego rejonu Armenii jest uczestnikiem tych zdarzeń, które toczyły się na stronach książki. Dłatego zapewne z taką prostotą, iście braterskim piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstawia on różnorodną rodzinę „naszego pułku”. Jako jeden z braci wszedł do wielkiej rodziny armeński wojak i przyszły powieściopisarz. Tylko u nas, w Związku Radzieckim, tak może być. I to rzuciło na powieść blask socjalistycznej rzeczywistości — ocenia wartość książki D. Demirczan. Nie przemilcza jednak licznych niedostatków pisarskiego rzemiosła, jakie zdradza debiut S. Chanzadiana. Zwraca uwagę na słuzny piórem przedstaw

FAKTY I ZDANIA

Jan Myśliwiec

Zobowiązanie pokojowe

Pewna część powiatu radzyńskiego słusznie może nosić nazwę „warszawskiego Polesia”. Na tych podmokłych i bezdrożnych terenach rozsiadły się cztery wsie: Duczki, Nowe Grabie, Nowe Lipiny i Lipiny gm. Ręczaje. 20 km na wschód jest Warszawa. W nocy luna świeciła stolicy widniejącej jak zorza nowych czasów.

Chłopi tych wsi to przeważnie biedniacy. W jaki sposób chłop radzyński włącza się w ogólnopolski plan gospodarczy? Z jakim dorobkiem stają chłopcy na program Planu 6-letniego? Oto bilans osiągnięć za ostatni okres:

- 1) Zebrano na przyszłe inwestycje gromadki 150 tys. zł składek.
- 2) Zakupiono dwa wagony wapna i budulca.
- 3) Wybudowano obiekty gospodarcze na placu szkolnym kosztem 75 robocizniówek darmowych.
- 4) Splantowano 2 ha placu pod szkołę kosztem 300 robocizniówek konnych i pieszych.
- 5) Urukowano bezpłatny punkt leczniczo-opatrunkowy rejestrując w ciągu kilkumiesięcznego istnienia tego punktu 79 udzielonych porad i opatrunków.

Chłopi „warszawskiego Polesia” rozumieją, że nazwa ta — „Polesie” — na oznaczenie obszarów nie nadających się do gospodarki — jest przytykaniem i cechuje minioną epokę gospodarczą. Dziś inaczej podchodzi się do tych zagadnień. Wbrew niektórym wrogom klasowym, chłopcy już przez dotychczasową pracę wykazali swoje polityczne oblicze. Żeby zaś zadokumentować jeszcze mocniej swoją postawę, — chłopcy jako wkład swój w walkę o pokój zobowiązują się:

- 1) Pobudować w Duczcech szkołę-pomnik im. Juliana Marchlewskiego.
- 2) Zniwelować górzysty teren pod szkołę oraz naprawić drogę łączącą wieś Duczki ze stacją kolejową Zagoścień, na przestrzeni około 800 metrów.
- 3) Opatkować wszystkie gospodarstwa oraz pracowników na 2000 — 4000 jednorazowo lub terenie 4 wiosek kwotą z ratalnie na budowę szkoły, przy czym wobec współzawodnicstwa wsi Nowe Grabie, która zafiarowała na ten cel wyższą kwotę — stawka opdatkowania dobrowolnego dla tej wsi została podwyższona do zł 3—5000.
- 4) Zobowiązać wszystkich mieszkańców wsi do bezpłatnej pracy przy budowie szkoły po jednej robocizniówce.
- 5) Dostarczyć bezpłatnie na plac szkolny z własnych zapasów po jednej furze żwiru i kamienia.
- 6) Wybudować obiekt gospodarczy na placu szkolnym oraz radiofonizować wies.

Leonard Trzaskowski

Więcej troski o książkę!

Najbliższą bazą zaopatrzenia wsi w artykuły różnego rodzaju stały się dziś sklepy gminnych spółdzielni S. Ch. Dzieci ich uniwersalności chłop Polski Ludowej nie potrzebują gonić do oddalonego miasta, tylko zaopatrzyć się we wszystko na miejscu, nawet w potrzebne mu książki. Ze książką w sklepach gminnych i spółdzielniach jest koniunktura, świadczą o tym szybkie wyprzedanie niektórych dzieł, a zwłaszcza z dziedziny rolnictwa, wychowania ideologicznego oraz literatury pięknej.

Zanim jednak książka znajdzie swego nabywcę, musi wypełnić z nud miejsca na półkach sklepowych. I tu okazuje się, że miejsce to nie zawsze jest właściwie doceniane i obmyślane, tak że strony praktycznej jak i estetycznej. Personel sklepowy jak i zarząd spółdzielni często zapomina, że książka jako rzecz piękna musi pięknym być otoczona, aby jak najprędzej znalazła swego nabywcę. Jeśli książka długo leży na półce sklepowej, to po dużej części z winy niewłaściwego miejsca. Wsunięta między półki towarów spożywczych czy żelaznych musi nierzadko czekać na prawdziwego miłośnika, ażeby ją odnalazł i wyróżnił z całego otoczenia.

Często zapomina się, że jeśli stać nas na gablotkę artykułów monopolu tytoniowego czy spirytusowego, to także powinniśmy się zdobyć na estetycznie urządzone kąci dla książek.

A oto jak nierzadko taki kąciec książki wygląda w sklepach gminnej spółdzielni. Przytoczę tu obrazek ze sklepu gminnej spółdzielni w Dobrym Mieście pow. Lidzbarsk-War., gdzie

7) Urządzić salę tańca na świeżym powietrzu dla dostarczenia ludności pożytecznej rozrywki.

Dopełnieniem całości zobowiązań naszych wsi są odrębne zobowiązania miejscowego Koła Ligi Kobiet w sprawie przeprowadzenia generalnych porządków w domach wiejskich wraz z wybieleniem wnętrz w

Władysław Rogala

„Upolityczniłem” się

Swojego czasu wysłałem list do redakcji, w którym wyrażałem nadzieję, że redakcja dopomoże mi rozwiązać przedwójne jeszcze marzenia o szkole. Przed wojną bowiem najwyżej mogłem marzyć o tym, abym mógł otrzymać dobrą służbę u bogatego chłopca. Pisząc ten list wydawało mi się, że nic łatwiejszego jak zaapelować do jakiejś instytucji, a ta natychmiast pomoże mi „wyrwać się ze wsi”. Podkreślałem to zdanie — „wyrwać się ze wsi”. Ono bowiem charakteryzuje mnie politycznie, jak słusznie stwierdza odpowiedź redakcji na mój list.

Więcej jeszcze niż list redakcji pomogły mi w zrozumieniu mojego błądu nadesłane broszury przodowników pracy. W jednej nawet spostrzegłem podch.ęństwo do mojego listu. Ja także miałem dziecinstwo podobne do Kalugi („S. Kaluga staje do współzawodnicstwa”), taki sam ciężki los, pełne gorczy i upodlenia lata. Kiedy przeczytałem, że Kaluga napisał list do „Cnopskiej Drogi” z prośbą o umożliwienie mu nauki i list ten odnosi skutec, widziałem w tym początkowo potwierdzenie mojej drogi. Nie obawiałem się wtedy odpowiedzi redakcji „Wsi”. Mówiłem sobie — oto Kaluga chce się uczyć, stać się pełnowartościowym człowiekiem, dlaczego ta droga ma być przede mną zamknięta. Przeczytałem jeszcze raz list ze „Wsi”, a potem broszurę. I wtedy dopiero zrozumiałem, że jednak inna była droga Kalugi do szkoły, a inna moja.

Przede wszystkim uderzył mnie sposób, w jaki chciałem rozstrzygnąć swój los. Zapytałem się, czym ten sposób różnił się od przedwojennych ścieżek, którymi nieliczni chłopcy i robotnicy wychodzili ze wsi. Ano jakiegoś mecenasostwo, szczęśliwy los, przypadek. Mogłem natrafic na redakcję, mogłem nie natrafic. Zachowując taką postawę wobec gromady jak dotychczas, obojętną, odosobnioną, nie pracując n.g.d.z.e. społecznie, jak mogłem liczyć na pomoc organizacji społecznych i politycznych. Zrozumiałem, że gromada ma prawo wybierać i selekcjonować ludzi. Zrozumiałem, dlaczego ze wsi mojej wyszło na studia już przeszło 30 młodych uczniów, a ja — mimo moich zdolności, którymi się chwaliłem — pozostałem. Ten wybór ludzi nie odbywa się przypadkowo, jest wyrazem polityki klasowej na wsi,

celu poprawienia warunków sanitarnych ludności, oraz propagandy na rzecz sadownictwa drzew i krzewów owocowych we wszystkich ogródkach.

Rywalizacja tych zamierzeń umocnił pokój — w to my chłopcy radzyński wierzymy.

Jan Myśliwiec

Marian Wróblewski

Drobnotowarowa gospodarka chłopska a szkoła

Dla nas, nauczycieli ludowych niezmierznie ważnym problemem na rzecz sadownictwa drzew i krzewów owocowych we wszystkich ogródkach.

Praca dziecka w szkole podstawowej składa się z dwóch elementów: nauki w szkole i pracy samodzielnej ucznia w domu.

W czasie godzin lekcyjnych młodzież szkolna uzyskuje wiadomości przy pomocy nauczyciela i przyswaja je z pomocą innych czynników, jakimi dysponuje szkoła (pomoc naukowej). W domu samodzielna praca ucznia nad opracowaniem ćwiczeń i zadań wskazanych przez nauczyciela ma na celu utrwalenie wiadomości zdobytych w szkole.

Element pierwszy jest rozwiązywany przez Państwo Ludowe, które zakłada i buduje szkoły, podnosi stopień organizacyjny już istniejących w celu dostarczenia młodzieży chłopskiej możliwości uzyskania odpowiedniego wykształcenia na terenie rodzinnej wsi. Drugi element pracy ucznia w domu nie został jeszcze przez państwo ujęty i dlatego pozostawia tak w mojej jak i innych wsiach wiele do życzenia. Jedyną możliwością zmiany na lepsze może nastąpić przy przejściu na gospodarkę spółdzielczą.

Dziecko chłopskie w gospodarstwie mało i średniorolnym, już od czterech lat życia jest siłą roboczą tego gospodarstwa. Wracając ze szkoły uczeń staje do paskoni, rabania drew, noszenia wody, bawienia młodszego rodzeństwa, prania,

młócenia, a często orania u boku starszych lub zupełnie samodzielnie. Taki rodzaj zatrudnienia nie sprzyja rozwojowi fizycznemu i ułrytówemu naszych uczniów. Mając to na uwadze, na częstych zebraniach Komitetu Rodzicielskiego debatujemy nad zmianą istniejącego stanu rzeczy. Widzimy bowiem, że dzieci przychodzą wyczerpane pracą fizyczną, „śpiące”. Efekt pracy przemęczonego dziecka, jest nie wspomnianym w stosunku do nakładów państwa i wysiłku nauczyciela. Tylko wybitne zdolności i imponująca siła dziecka chłopskiego, w wielu wypadkach pozwala utrzymać mu się na poziomie. Jednak gdy weźmiemy pod uwagę zdolności przeciętne, spostrzegamy, że mimo wysiłków dziecka i pracy usilnej nauczyciela, staran Komitetu Rodzicielskiego wyniki są zaledwie dostateczne. Dzieci nie uodpornie, a takich jest także pewien procent nie są w stanie sprostać wymogom szkoły. Bardzo często książki i zeszyty szkolne u pilnej dżatwy są wyjmowane z łeczki dopiero późnym wieczorem, gdy cała rodzina gromadzi się przy jednym stole. W atmosferze kłótni rodzinnych przy małej lampce, trudno spodziewać się dobrych wyników pracy, nawet u pilnych uczniów. U mniej pilnych uczniów, przemęczonych pracą fizyczną, książką i zeszytami brane są wiedy do ręki, gdy nadchodzi godzina wyjścia do szkoły. Niejednokrotnie dziecko pragnące wywiązać się jak należy z obowiązków szkolnych przeżywa w domu prawdziwą tragedię. Z jednej strony przymus ekonomiczny, konieczność ciężkiej pracy — z drugiej obowiązek wobec szkoły. Szkoła wraz z Komitetem Rodzicielskim radaby pomóc dziecku szkolni, w tym też celu buduje się w wiosce wielką i piękną szkołę muirowaną. W niej znajduje każde dziecko miejsce na odrobienie lekcji. Obecny stan rzeczy nie pozwala na to, gdyż posiadamy tylko cztery szkolne sale (każda oddzielnie) dla siedmiu klas, pięciu nauczycieli. Zmuszeni jesteśmy do nauki na zmiany, co trwa w niektóre dni do godz. 16-ej. Biorąc pod uwagę odległość od szkoły do domu

dzieci, stan naszych dróg, brak oświetlenia na ulicy co szczególnie zimą ma znaczenie, musimy rezygnować ze wspólnego odrabiania lekcji przy pomocy nauczycieli. Możliwe to jest tylko dla niektórych uczniów. Reszcie dzieci staramy się wyjednać u rodziców względy nieobciążania zbytnio pracą, stwarzania im możliwości odrabiania w ciszy i spokoju zadanych do domu prac. Jeśli weźmiemy pod uwagę stan z przed sześciu lat, stwierdzamy postęp. Najlepszym sprawdzianem niski i stale malejący procent pozostających na drugi rok uczniów, wzrost dobrych i bardzo dobrych ocen. Szczególnym sukcesem kierownictwa szkoły i Komitetu Rodzicielskiego jest podciąganie w nauce dzieci z gromady Cukrowka, należące do tutejszego obwodu szkolnego. Przed sześciu laty do wyjątków należały dzieci z tej wioski, kończące szkołę podstawową. Obecnie działwa tej gromady kończy pełną szkołę (za małymi wyjątkami) nie przestaje na jej ukończeniu, kształcą się w różnych szkołach średnich.

Całkowite jednak rozwiązanie problemu dalszego kształcenia się dziecka chłopskiego ujrzymy po upowszechnieniu gospodarki spółdzielczej. Zniknie wtedy zależność dziecka od drobnotowarowej gospodarki. Kandydaci na pastuchów znajdują się w żłobkach, dzieciach, przedszkolach, spędzając tam szczęśliwe dzieciństwo.

Wprowadzenia rolnej gospodarki spółdzielczej w naszej wiosce należy szpiezwać się w najbliższych miesiącach.

Wtedy wykończenie budującej się od pięciu już lat szkoły na mej wsi, również nastąpi szybciej. Wtedy znajdziemy możliwości jak najdłuższego oddziaływania na wychowanie i kształcenie przyszłych obywateli ustroju socjalistycznego. Dużo wielkich, widnych, ciepłych, słonecznych, pięknych sal, udestępni nam przebywanie wśród młodzieży. Da nam możliwość niesienia pomocy i rady we wszystkich trudnościach szkolnych zadań i życiowych sytuacji.

Marian Wróblewski

Z wystawy rumuńskiej karykatury politycznej



Rząd w Bonn



Fakir

Józef Kowalczyk

Chcę się uczyć

Posyłam do redakcji swój życiorys, chcę prosić redakcję o pomoc przy wyszukaniu dla mnie odpowiedniej szkoły. A oprócz tego swoim życiorysem chcę dowiedzieć, że jedynym wyjściem nieraz z beznadziejnej sytuacji na wsi jest tylko spółdzielczość produkcyjna. I u nas, w Wydrzynie, spółdzielnia produkcyjna musi powstać.

Urodziłem się w 1933 r. w Wydrzynie, powiatu wieluńskiego. Dzieciństwo spędziłem w wielkim niedostatku. Mielismy tylko 2 ha ziemi mało urządzanej. Pole obrabiali nam bogacze wiejscy, każąc sobie słono płacić za dniówkę konna. Byliśmy przez bogaczy wyzyskiwani. Rodzice stale chodzili na odrobki, ja również pracowałem zarobkowo, jako pastuch, czy też do innych posług. Do szkoły przed wojną nie chodziłem, wybuch wojny w 1939 r. przeszkodził mi.

Okres okupacji był dla nas bardzo ciężki. W okresie tym nieraz przymeraliśmy z głodu. Tesknilem także do szkoły, za książką, z zadrżeniem patrzyłem na dzieci niemieckie biegnące do szkoły. Później nadszedł jeszcze gorszy okres dla nas, gdy zostaliśmy wysiedleni. Rodzice musieli pracować u Niemców za marne wynagrodzenie. Ja także jako 8-letni chłopiec, musiałem pracować. Nieraz nie mogłem podołać pracy, za co niemiecki kulak bił mnie. Bo nie wszyscy gospodarze niemieccy byli źli, ale byli też bogacze, którzy stali za Hitlerem i gnębili Polaków. Okres pięcioletniej okupacji przetrwałem w bardzo ciężkich warunkach.

Rok 1945 przyniósł nam największe szczęście — wolność. Zaraz też wróciłem do domu. W domu mieliśmy jeszcze większą nędzę, lecz z ogromną radością zapisałem się do szkoły w Wydrzynie. Miałem wtedy 12 lat. Uczyłem się pilnie, aby nadrobić stracony czas. Zaraz też z pierwszej klasy poszedłem do trzeciej.

W domu nie miałem spokojnego życia. Nie mieliśmy co ułożyć do garnka. Ziemia stała ugorami, nie było ziarna na zasiew ani na chleb. Mieszkanie i całe gospodarstwo było kompletnie zniszczone. Stopniowo jednak polepszało się. Samopomoc Chłopska organizowała nowe życie.

Po ukończeniu czwartej klasy w Wydrzynie wstąpiłem do piątej klasy szkoły podstawowej w Czarnożyłach, gdzie w bieżącym roku ukończyłem 7 klasę.

Od 1949 r. należę do SP. Na zbiórki SP chodzę chętnie. Nie opuściłem jeszcze ani jednej. Do pracy chodzę i wykonuję ją dobrze. Tylko rodzice nieraz mruzcą, że za często mnie nie ma w domu, że chodzę na zbiórki, a za to nic nie otrzymuję. Ale rodzice myślą się! Dużo korzystam z SP. Wiem, że nie mam drogi zamkniętej przed sobą, jak ją miał zamkniętą mój ojciec. Mimo, że dotychczas nie posiłem jeszcze dalec, ale to i moja wina, gdyż za mało pracowałem organizacyjnie. Trzeba

by się mnie zapytać: CO ROBIŁEM W ZMP? JAK PRACUJĘ W SP? Czy włączam się w walkę klasową w rodzinnym Wydrzynie i jak rozwijuję to zagadnienie. W Wydrzynie przecież nie tylko mój ojciec jest matorolny, matorolnych jest więcej, ale próby wyjścia z tej sytuacji, u niezależnienia się od bogaczy są bardzo mierne. Jest zaledwie kilku chłopów, którzy chcą złożyć spółdzielnię produkcyjną, ale bogacze przeszkadzają i nieświadomiona ludność wierzy w różne plotki, które rozpuszczają we własnym interesie sami bogacze. Bogacze wiejscy chcą tylko wykorzystać biedotę wiejską. Bogacze powinni eniknąć ze wsi polskiej. To piszę teraz, ale chociaż jestem młody, muszę zapytać, jak czynnie przeciwstawiłem się bogaczom?

Muszę stwierdzić, że mało i ja sam walczę często z nawykami i sposobem myślenia, które wojono we mnie w dzieciństwie. Jednak ZMP i SP pomagają mi w rozwijaniu trudniejszych zagadnień. To, że jestem obecnie korespondentem kilku czasopism i mogę o pewnych sprawach zabrać głos, zawdzięczam właśnie swojemu doświadczeniu nabytemu w SP.

Ala chcę się dalej uczyć. Chcę szerzyć oświatę wśród ludności wiejskiej. Chcę walczyć w ten sposób z wrogiem klasowym. Może redakcja pomoże mi i wybierze dla mnie odpowiednią szkołę. Będę zaś pracował z całym sił.

Józef Kowalczyk

W poprzednim numerze

W NUMERZE „WSI” 36 (267)

z dnia 10.IX.1950 r.

Adam Rapacki — Obronę pokoju czują się silni! Zygfryd Sawko — Do Pablo Nerudy. Jan Nagrabiecki — W Paryżu na portalu. Bronisław Chęciński — Nagrobek Darii. Zofia Rzeplińska — Historyczne doświadczenia. Jan Maria Gises — Atak czy okopy. Wiesław Jazdyński — Młodzież patrzy na was. Anna Kamińska — Droga Nędzy Kubińca. Leon Pokora — Poemat chłopskiego radykała. A. E. Kirlo-Nowaczyk — Uwagi o „Janosiku”. Ryszard Przybylski — „Burza”. Edward Koziel. — W obronie pokoju. Kazimierz Bartyzel — Czytałem „Ugory” Pogana. Witold Kulik — List zetempowca. Witold Kulik — Brygada szkolna. Jan Lemiesz — Spojrzenie wstecz. Józef Zaremba — Dwie geografie. Tadeusz Szewera — Kulackie dobrodziejstwo. J. Bieniek — Mój wkład w dzieło pokoju. Krzysztof Martyniński — Wzmagamy czynność. Ludwik Młot — Problemy na dziś. Marian Piotr Platek — Wiejszy przodownicy pracy. Jan Marszałek — O wyższą wydajność w nauce. — Wit. — Reformator z „Tygodnika Powszechnego”. Zofia Jarczak — Nie tędy droga. Ilustracji 12 — stron 8.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet

Adres Administracji: Warszawa ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa ul. Starzyńkiewicza Nr 7

Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.

Tel. Red. Nacz. 721-11. Tel. Redakcji 651-80. Wewnętrzny 23 i 97

Wyd.: SPOŁDZIELNIA WYDAWN. OSW. „C Z Y T E L N I K”

REDAKCJA NIE ZAMOWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 100.—zł.; kwartalnie 300.—zł.; półrocznie 600.—zł.; rocznie 960.—zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem za twg „Wies”

Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd.-Osw. „Czytelnik”. Marszałkowska 3/5

B-116292